

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. ŁÓDŹ, 3. VI. 62 r.

Nr 22 (222)

Cena 1 zł

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Łatwiej być studentem niż absolwentem

Zawsze w okresie późnej wiosny przychodzi mi wielka ochota, aby narazić się panu Bogu i dwóm ziemskim ministrom. W związku z Bogiem nie powiem ani słowa, co zaś tyczy się ministrów wyjaśniam, że mam na myśli, resort oświaty i szkolnictwa wyższego.

Żal mi strasznie młodzieży. Proszę tylko pomyśleć: pachnie świeżo bez i konwalia, słońce i słodkie uczucia wiosenne rozkładają umysł na czynniki pierwsze, nauka wybitnie nie idzie do głowy, a tu rady nie ma, dukaj bracie, że ciała zanurzone w wodzie mokną, żałośnie mokną, póki się ich nie wyciągnie jak nauczał bodaj mądry Archimedes. Choć gorąco — trzeba się pocie przy egzaminach.

Przychodzi mi w początkach czerwca do głowy myśl o wielkiej reformie. Właściwie dlaczego rok szkolny i

rok akademicki muszą kończyć się koniecznie u schyłku wiosny? Ja bym zrobił inaczej. Na lato zarządziłbym półroczny, kto słaby może się podkuć w okresie wakacyjnym. A koniec roku na grudzień, miesiąc nie taki znowu atrakcyjny. Zimy planujemy ostatnio w miesiącach lutym i marcu z poślizgiem na kwiecień, więc tylko w domu siedzieć i uczyć się. Rozumiem, to obala wszelkie tradycje i przyzwyczajenia, rozbija przyrodzony, boski porządek rzeczy, ale przecież jeśli pomyśleć o tym, co zrobił z wyobrażeniami i nawykami np. Kopernik?

Zresztą nie upieram się, cykl nauczania może pozostać nawet bez zmian, zmieni jednak trzeba jego funkcję społeczną, gdyż stanowczo coś jest tu nie w porządku.

Dalszy ciąg na str. 4

1 VI
MIĘDZYNARODOWY
DZIEŃ DZIECKA



Fot. A. Wach

IGOR SIKIRYCKI

W STAREJ KUŹNI NAD WISŁĄ

(FRAGMENTY)

We wsi Stare Karczyska,
Niedaleko od Puław,
Stoi kuźnia, a w kuźni
Mieszka kowal Mikula,
Ponad dachem dwa dęby
Rozpostarli konary.
Dęby jeszcze zielone,
Choć każdy z nich stary.
Kiedy słońce ich korę
Złoci blaskiem porannym,
Drzewa szumią na wietrze
Jak ogromne fontanny.
I wydaje się wtedy,
Ze szumiące listowie
O historii tej ziemi
Rozpoczyna opowieść.

Raz, gdy wiosną od lodów
Uwolnili się Wisła,
Do osady z drużyną
Zjechał książę Wityslaw.
Snadź z wrogami niedawno
Ciężką przeżył przeprawę.
Bo mu skroń przecinały
Świeże blizny dwie krwawe.
Jego miecz, który wrogom
Nieraz błyskał złowieszczo
I niemalo kłęk zadał,
Wyszczerbiony miał

brzeszczot.

Dalszy ciąg na str. 6

PRZELUDNIENIE

Na początku 1962 r. ziemię zamieszkiwało około 3 miliardów ludzi; w r. 2000 będzie nas około 6.6 miliarda.

Problem przyrostu ludności nie jest czymś nowym w historii ludzkości. Ale nigdy jeszcze nie był problemem tak palącym jak w dobie obecnej. Sięgnijmy wstecz:

7000 lat p. n. e.	ziemię zamieszkiwało	10 mln. ludzi
4500 lat p. n. e.	"	20 "
2500 lat p. n. e.	"	40 "
1000 lat p. n. e.	"	80 "
w I roku n. e.	"	160 "
w 900 roku n. e.	"	320 "
w 1700 "	"	600 "
w 1850 "	"	1200 "
w 1960 "	"	3000 "
w 2000 "	"	6600 "

W przeciągu najbliższych czterdziestu lat podwoi się liczba ludzi na ziemi. W ostatnich latach największy przyrost naturalny obserwujemy w Azji. Chiny, które dziś liczą 700 mln. mieszkańców, będą ich miały w roku 2000 około 1,7 mld. Próbuje zmniejszyć tę liczbę rząd Chińskiej Republiki Ludowej, który postanowił wprowadzić obowiązkową kontrolę urodzin.

Amerykański profesor geografii Langdon White obliczył, że Egipt zostanie całkowicie zaludniony po 29 latach. Indonezja po 32, a Iran po 36. Ludność tych państw zwiększy się o tyle, że np. Anglia będzie im mogła dorównać dopiero po 230 latach. Największe zaludnienie osiągną również

wszystkie kraje Ameryki Środkowej.

Dotychczas uważano, że liczba urodzin w Ameryce Płn. została ustabilizowana do 6 p.m. Okazało się, że w 1950 r. było w USA około 149 mln. ludności, a w 1955 r. liczba ta wynosiła już 166 mln. Przyrost naturalny w Ameryce Płn. wynosił nie 6 p.m., ale 141 p.m. (powyższych badań dokonał statystycy amerykańscy Thompson i Whelp'au, którzy prowadzili je od 1923 r. W styczniu ubiegłego roku prof. Filip Hauser z Uniwersytetu w Chicago obliczył, że w roku 2000 będzie w USA nie 250 mln (jak stwierdzono do tej pory), lecz 385 mln. ludności, która w roku 2050 wzrośnie do miliarda.

Jakie są przyczyny tego

stanu? W roku 1750 występowało w Anglii 38 narodzin na 1000 mieszkańców, ale 33 wypadki śmierci. Wynosiło to około 5 p.m. W latach 1871-80 w Anglii i Walii umierało 149 dzieci na 1000. W latach 1941-49 śmiertelność zmniejszyła się do 44 dzieci na 1000. Zwiększenie się ludności Europy jest więc efektem zmniejszenia śmiertelności wśród dzieci. W 1750 r. śmiertelność w Anglii i Walii wynosiła 33 p.m., a w 1960 tylko 11,5 p.m. W latach 1945-46 zastosowano nowo wynaleziony proszek na insekty DDT, przeciw malararii na Cejlonie. Dzięki temu śmiertelność zmniejszyła się tam z 20,3 do 9,1 p.m. W 1959 r. Jednocześnie szybko wzrasta zaludnienie na Cejlonie, które w 1945 r. wynosiło 6,8 mln, a w 1961 r. aż 20 mln. W porównaniu z Europą ludność Cejlonu wzrasta w tempie astronomicznym.

W ostatnich latach niektóre kraje zaczęły walczyć z zastraszająco dużym przyrostem naturalnym. W Polsce wykazuje ożywioną działalność Towarzystwo Światodomego Macierzyństwa. Skutki nie dają na siebie długo czekać, i w Polsce gdzie przyrost wynosił w ostatnim stuleciu około 43 p.m., w roku 1957 już tylko 27 p.m. (dla

Dalszy ciąg
na stronie 4



Fot. E. KUDAJ

W Łodzi to nie uchodzi MATKOM OSAMOTNIONYM

Otrzymałem od niej list. Nie potrzebowałem oglądać adresu nadawcy. Starałam, wyraźnie pismo a przecież tu i ówdzie rozchwyłoby jakby drzące litery mówiły o starej już ręce, która je stawiała.

W treści — nieśmiało, aluzyjnie wyrażony żal, że zapomniałem o niej w okresie świąt i takie oto zdania: „Paskudna rzecz — starość. Quand on est vieux et qu'on n'a plus d'espoir — la vie devient triste. Mourir est un devoir. (Kiedy się jest starym i nie ma się już nadziei, życie staje się smutne. Umrzeć jest obowiązkiem). Mądry ten Voltaire!”,

List był od mojej nauczycielki francuskiego w gimnazjum, obecnie — samotnej, ponad 80 lat liczącej staruszki. Ale kiedyś tam kobiecie wypominał lata! Fi done!

Sprzed czterdziestu lat pamiętam ją jako wspaniałą wysoką kobietę. Trzymała się zawsze prosto, była co się zowie reprezentacyjna. Podziwialiśmy jej czarujący swobodny uśmiech, jej iscie gallijski dowcip (który zresztą nie opuścił jej do dziś), ale bywały również chwile, kiedy zdenerwowana naszą wyjątkową tępotą, lub zachowaniem, które stanowiło przekraczanie granic przyzwyczajenia, potrafiła huknąć na nas potężnie:

— Silence! (Spokój)

A że huknięciu owemu towarzyszyło równie potężne tupnięcie w podłogę „katedry” — szyby drżały, a rozbiurmanione sztabki blady i kulili się za plecami sąsiada, by zniknąć z jej pola widzenia i nie doczekać się skierowanego do siebie wezwania:

— Mon bijou, montre moi tes devoirs!

Baliśmy się jej ogromnie i ubóstwialiśmy równocześnie. Była powierniczką naszych amorskich perypetii. Ponieważ uczyła również w kilku szkołach żeńskich w czeluściach swojej podręcznej torby przenosiła w jedną i drugą stronę listy sercem pisane.

Czasami uczyła nas języka na tekstach piosenek. Głos miała odwrotnie proporcjonalny do postury: cichy, słaby, lekko drżący. Kiedyś zaprosiła mnie do siebie. U niej przy pianinie wyuczyłem się kilku melodii, które przyniosłem potem do klasy.

W dużym, dostatnym mieszkaniu poznałem jej męża. Był to wówczas, o ile do-

— Widzisz, dostałam od Heluty kartkę. Czytaj! Pamiętam te oświecimskie karty. „Ich bin gesund. Es geht mir sehr gut. Ich grüße dich herzlich...” i — prosba o drożdże.

— Widzisz. Zdrowa. A drożdże jej już posłałam i trochę boczków. Chłopcy mi się postarali. Co dwa tygodnie wolno posyłać paczki.

Nikt z nas nie wiedział wtedy, że wysłano ją do Auschwitz z wyrokiem. Zawiadomienie, o śmierci przyszło w dwa miesiące po jej rozstrzelaniu.

Przez te dwa miesiące szły do córki paczki troskliwie przez matkę a przy pomocy uczniów przygotowywane.

Po wojnie znalazła się znowu w Łodzi, wróciła nawet na pewien czas do szkoły. Wkrótce jednak starość nie pozwoliła na systematyczną pracę poza domem.

Kiedyś wpadłem do jej mieszkania. Była jakaś mniejsza, szczuplejsza, plecy lekko pochylone, włosy siwuteńkie, ale jak dawniej gościnnie, żywa i — dowcipna. Miała na utrzymaniu jeszcze swoją starszą siostrę.

— Jak żyje? Widzisz przecież, że świetnie. O, patrz: cytryny, czekolada, nawet wino mam. Chcesz, poczęstuję cię!

— Z czego? Pracy pełne ręce: trochę prywatnych lekcji, tłumaczenia.

— Nie, niczego mi nie potrzeba. Mam wszystkiego w bród. Daję sobie sama radę. Tylko zajrzyj do mnie czasami.

Jakoś rozmowa zeszała na syna. — Wiiesz, on wrócił. Na pewno. Mam muirowane wiadomości. To nieprawda, że zginął. Zresztą, ja nigdy to nie wierzyłam. Był w obozie, chorował. Z bardzo silnego przebieżenia. Ale wrócił. I to niedługo. Już jest w drodze. Coś ci powiem: mam dla niego koldre. Pufkow. Musi porządnie wypocząć i wygrzać się. I jeszcze coś ci pokażę.

Z szafy wyjęła kupon na garnitur. — Setka! Ładny de seń, prawda. On taki lubi.

Po kilku latach zmarła jej siostra. Kiedy się do niej dostałem na trzecie piętro, leżała w łóżku.

— Wyobraź sobie, złamałam głę. A dobrze tak, starej babie, zachciało mi się myć okno. Do tego jeszcze jakieś klucze w boku się przyplatało. Ale opiekuję się mną, chuchają. I po co to? Nie pozwalają umrzeć...

Zastanawiam się, jakiegoś ociemniałego.

Kiedy wyszedł wyjaśniła: — Inwalida wojenny. Skądś się o mnie dowiedział. Jest również sam. Przychodzi, żeby sobie ze mną porozmawiać. Jak tylko ktoś mnie odwiedza, natychmiast się żegna. Trochę ucę go angielskiego. Nawet robi postępy.

Dalszy ciąg
na str.
6

ROZMOWA ODGŁOSÓW Z: Z prof. dr Januszem Sobańskim kierownikiem Katedry Okulist. AM i Kliniki Chorób Ocznych AM w Łodzi O: KRÓTKOWZROCZNOŚCI



— Jest Pan Profesor wybitnym specjalistą w zakresie okulistyki, autorem około 100 prac naukowych a zarazem niezmordowanym lekarzem i kierownikiem kliniki, której zadaniem jest leczenie chorób ocznych oraz zapobieganie im. Jakże są spotykane u nas najczęściej choroby wzroku?

— Choroby oczne stanowią dziś zjawisko społeczne typowe dla czasów współczesnych. Należą do nich jaskra, choroba zezowa, która występuje w Polsce u 750 tysięcy ludzi (wg. statystyki szwajcarskiej u 2,5 proc. do 4 proc. dzisiejszych społeczeństw spotyka się zez), krótkowzroczność postępująca — osłowa oraz choroby układu krążenia.

— Z tych trzech głównie występujących dziś schorzeń wzroku może zatrzymamy się nieco dłużej na krótkowzroczności. Czy to prawda, że zagraża nam „narodowa” krótkowzroczność?

— Krótkowzroczność postępująca — osłowa nasilona jest mniej więcej jednako we wszystkich społeczeństwach cywilizowanych. Nie można więc mówić, że jest to zjawisko typowe dla Polaków.

— Co to w ogóle jest, z punktu widzenia medycyny, ta krótkowzroczność? Co ją powoduje i pogłębia?

— Postępująca krótkowzroczność osłowa jest zespołem objawów chorobowych spowodowanych stopniowym wydłużeniem się gałki ocznej, która przybiera ostatecznie kształt wydłużonego walca. Przyczyna choroby dotychczas nie została wyjaśniona. Zaobserwowaliśmy natomiast, że schorzenie to, które rozpoczyna się we wczesnym dzieciństwie, zazwyczaj nasila się w okresie silnego wzrostu dziecka a zwłaszcza w okresie jego dojrzewania. U kobiet zaś nasila się szczególnie w okresie ciąży i karmienia. Nasiliło się także może w każdym wieku w przebiegu innych chorób wyczerpujących organizm człowieka.

— Jakże są możliwości leczenia tej choroby?

— Leczenie postępującej krótkowzroczności osłowej polega na noszeniu przez chorego stałe szkieł wyrównujących wadę refrakcji, przy czym badania kontrolne muszą być wykonywane początkowo częściej, co 2-3 miesiące, a następnie już rzadziej, aby dostatecznie szybko wzmocnić odpowiednio siłę szkieł. Praca wzrokowa powinna być wykonywana przy dobrym oświetleniu przedmiotu pracy, który musi być odpowiednio oddalony od oczu na odległość około 25-33 cm. Należy

również stosować co godzinę krótkie, 1-2 minutowe przerwy w pracy wzrokowej, przy czym krótkowzroczny przez okres przerwy powinien patrzeć w dal.

— Jakże, poza krótkowzrocznością, najczęściej spotykamy choroby oczu?

— Choroby układu krążenia krwi w oku. 14 prac naukowych opracowanych przez nas omawia zagadnienie jaskry, która jest najczęstszą przyczyną ślepoty. Aby móc leczyć jaskrę należy ją rozpoznać. Istnieje już cały szereg prób wykrywających jaskrę. Na posiedzeniu Francuskiego Towarzystwa Okulistycznego, poświęconego jaskrze, zwróciłem uwagę na to, że ogłaszane dotychczas metody wykrywania jaskry nie uwzględniły wielu szczegółów i dlatego b. często dają błędne wyniki. Jedyną metodą, która zapobiega błędem jest metoda badania pojemności drogi i odpływu płynu komorowego z oka, ogłoszona przez nas na Zjeździe Polskiego Twa Okulist. w 1954 r. w Warszawie, a opublikowana w trzy lata później w naukowych i amerykańskich czasopiśmie naukowych.

— Wspomniał Pan Profesor o kontaktach z medycyną światową. Z jakimi ośrodkami naukowymi współpracuje Pan?

— Z austriackim, niemieckim, francuskim i szwajcarskim Towarzystwami Okulistycznymi oraz z Instytutem Okulistycznym im. Helmholtza w Moskwie. W radzieckich podręcznikach drukowaliśmy też nasze prace o zezach. Biorę też częsty udział w naukowych zjazdach międzynarodowych. Niedawno wróciłem ze zjazdu Francuskiego Towarzystwa Okulistycznego który obradował w Paryżu w maju, teraz znów lecę do Wiednia gdzie przedstawię nową metodę operacji katarakty. W myśl tej metody leczenie pozytywne sięga 97,5 proc. spotykanych przypadków.

Wszystkie te problemy są tematem badań i opracowań naszej Katedry i Kliniki. Lekarze naszej kliniki i pracownicy naukowej Katedry ogłosili 128 prac z dziedziny leczenia chorób oczu, z tego kilkanaście w językach obcych. Także i w naszych pracowniach optycznych osiągnęliśmy sukcesy w dziedzinie nowych zastosowań tworzyw sztucznych do wyrobienia protez ocznych, szkieł specjalistycznych okularowych oraz kontaktowych rogówkowych. Pracownia nasza protez ocznych wykonuje je specjalnie dla wyrównania zniekształceń urazowych i rozwojowych.

— Już przed 1939 rokiem znaliśmy Pana jako profesora Wydziału Medycznego Uniwersytetu Warszawskiego i już wówczas lekarza z poważnym dorobkiem naukowym, popularnym nie tylko w kraju ale i zagranicą. Którego to już rok pańskiej pracy mija Panie Profesorze?

— Już prawie 40 lat pracuję w klinice chorób ocznych. Ale... czy to warto wspominać? Osobiście wolę mówić zawsze o przyszłości niż o tym co już minęło. A przyszłość dla nas lekarzy jest zawsze jedna: jest nią człowiek i nieustający wysiłek nad ochroną jego życia i zdrowia.

Rozm. W. WYRZYKOWSKA

WIESŁAW BEK

Smutne dni generalissimusa Franco

Generalissimus musi być bardzo smutny. W ostatnich dniach spryskił się przeciw niemu nawet niektórzy przyjaciele. 200 tysięcy współzłotników jawnie demonstruje swoją nienawiść. Inni solidaryzują się z manifestującymi. Tuż pod bokiem, w stolicy kraju raz po raz pojawiają się złowieszcze hasła. W głowach właścicieli pięciu wielkich banków, które zawiadują 4/5 gospodarki odżywa myśl restauracji „ludowej monarchii”. Właśnie pretendent do tronu poślubił grecką księżniczkę.

Generalissimus jednak nie rezygnuje. Ma jeszcze dość siły, by zlecić mokrą robotę bojówkarzom z „Guardia Civil”. Chce w „chwale” dopełnić kresu swych dni. Budowane za życia mauzoleum ma świadczyć pokoleniom o wielkości tyrana; głowy państwa, szefa rządu, przywódcę rządzącej Falangi — wszystkie w jednej osobie. Na mauzoleum złotymi literami ma być wry-

cież wybite: FRANCISCO FRANCO Y BAHAMONDE.

Przez Asturię, Andaluzję, Galicję przelewa się fala strajków. Najpierw zaczęli strajkować górnicy, potem metalowcy, stoczniowcy. Strajkują, porzucając pracę na przemian. Dziś staje jeden oddział, jutro drugi. Drakońskie metody załamywania pokładów wraz z górnikami, gdy ci odmówili wyjechać na powłózkę — nie powstrzymały wzburzonej fali. To już prawie siedem tygodni, kiedy w Asturii rozpalili się płomienie. Straty tylko w tej prowincji sięgają 700 tys. ton węgla.

To strajki jest ekonomicznie, choć od dawna już wydarzenia hiszpańskie przybrały wielką polityczną wagę.

Hiszpania jest typowym przykładem nierównowagi rozwoju świata kapitalistycznego. Nawet źródła oficjalne zmuszone są przyznać, że kraj ten pozostaje daleko w

tylu. Przeprowadzona przez Krajowy Zakład Ubezpieczeń ankietą w 4 tysiącach firm wykazała, że przeciętna płaca blisko 280 tysięcy robotników (z ogólnej liczby 350 tys.) wynosiła poniżej 2.500 peset. Dochód dzienny w Hiszpanii przypadający na jednego mieszkańca szacuje się na 20 proc. poziomu dochodu w W. Brytanii i 25 proc. we Francji i Niemczech. Siła nabywcza zaś zarobku wykwalifikowanego robotnika stanowiła niewiele ponad 30 proc. siły nabywczej robotnika angielskiego. Dlatego też wcale nierzadkie są tam wypadki, że Hiszpan podejmując pracę w dwóch fabrykach, wszędzie po 8 godzin na dobę. Oczywiście nie po to, by oddać na luksaś, lecz by wyżywić rodzinę.

Tradycyjne miejsca emigracji — Ameryka południowa i Francja — w latach depresji ekonomicznej, zapożyczającej w r. 1959 przestały wyścierać. Wzmocniony ruch emigracyjny objął i inne kraje.

W Niemczech żyje obecnie 80 tysięcy robotników hiszpańskich. W Szwajcarii — 20 tys. Rząd łaskawym okiem patrzy na ten exodus, w kraju brakowało przecież miejsc pracy. Ale ostatnio policja zaczęła wyjeżdżającym stwarzać duże trudności.

Obrazu ekonomiki hiszpańskiej dopełnia szalejąca inflacja. Obieg banknotów zwiększył się w ciągu 12 miesięcy o prawie 13 proc., tylko między listopadem a grudniem ubiegłego roku — o 7.100 milionów peset. Rozpęd — przyszedł to sami falangści — naprawdę niebezpieczny.

Hiszpańskie strajki przestają w walce polityczną z reżimem.

Od pierwszych chwil przemiana pracy — rolę organizatorów strajku przypisano komunistom zdelegalizowanej KPH. Ale na korzyść strajkujących wypowiedział się również kościół. Co najmniej jedna trzecia tych, co przer-

wali pracę, to katolicy. — Księża — rejestrowali w swoich raportach korespondenci zagraniczni — włączali się do akcji pomocy dla strajkujących. Czy na nich wszystkich jak na 300 antyfrankistówskich księży baskijskich w ub. roku, z ust hiszpańskiego prymasa padła słowa potępienia?

Manifest sześciu opozycyjnych partii hiszpańskich sprzed kilku dni dowiódł, że front walki z reżimem frankistowskim jest dziś bardzo szeroki. „Burzująca hiszpańska” — czytamy w nim — nie może dłużej drzeć pod ochroną policyjną i powstrzymaniem interesów despotyzmu i zbankrutowanemu rządowi. Naraziła się bowiem w ten sposób na niebezpieczeństwo podważenia na siebie wyroku śmierci.

Wyrażony w komunikacie hold „dojrzałości klasy robotniczej” i oczekiwanie, że i „inne warstwy stają na wysokości zadania” — jest dla Franco jeszcze jednym ostrzeżeniem. Kto wie, czy nie ostatnim?..

Nowy polski film

GŁOS Z TAMTEGO ŚWIATA

„Jest to zwykły pokój, umebowany w sposób typowy dla określonego środowiska. W kuchni stoi cynowy czajnik, nowe garnki jakich nie powstydziłaby się najlepsza gospodyni, młyn do kawy, puszcza szpinaku, napoczęta paczka herbaty. Kredens załadowany „ozdobami” w postaci pluszowego misia i kominiarzystki, z boku wyżymaczka, łóżko pokryte brudną kapą, zlew, cebula w koszyku. A na ścianie urocze makatki z napisami: „Jak ja ugłotuję, każdemu smakuje”, „Świeża woda”, „Dzień dobry” i „Smacznego”. W pokoju staromodna szafa oparta wielkim lustrem, na niej wielkie słoje z winami, radio, makatki, ślubne zdjęcie, sztuczne kwiaty, etażerka ze starym budzikiem, „martwa natura” nad tapczanem. Jednym słowem — normalne mieszkanie z drewnianą podłogą, dywanami i ścianami umalowanymi we wzorek. Ale... w mieszkaniu tym tłoczy się w tej chwili około 20 osób, stoi kamera filmowa, a zamiast sufitu „patrzy” na nas reflektory numer 15, 16, 17, 19 i 26.

To „normalne” mieszkanie jest bowiem dekoracją wybudowaną w łódzkiej hali zdjęciowej dla filmu „Głos z tamtego świata”. „Śledzę głów, śledzę kor, na których niewiasta siedzi i królów siedem jest. Pięć ich upadło a jeden jest, a drugi jeszcze nie przyzedł. A gdy przyjdzie, na mały czas ma trwać. A dzień królów, którzy królestwa jeszcze nie wzięli ale wezmą moc jako królowie...” Na krześle, w środku pokoju, siedzi niewiasta o „natchnionej” twarzy. Natrój nieomal jak w świątyni, jesteśmy bowiem świadkami proroctw wróżki Wiktorii. Już byliśmy skłonni we wszystko uwierzyć — kiedy Władysław Forbort, operator filmu zakrzyknął: „Drugi szczeniak na oporze! Zasiatkować i żeby cienie nie padały! Pani Majda wlaź na plan pierwszy!” — „Za cicho! Nic nie słyszeli!” — powiada operator dźwięku.

— Nic nie szkodzi, to i tak będzie brylant dźwiękowy — pociesza go reżyser...

Ujęcie 339, 340, 341... Prace nad filmem są już poważnie zaawansowane, plenery kręcono w Krakowie, całość będzie ukończona w czerwcu, a film powinniśmy zobaczyć we wrześniu. W przeciwieństwie do wielu innych filmów polskiej produkcji „Głos z tamtego świata” nie jest adaptacją, ale oryginalnym scenariuszem opartym o oryginalny pomysł Tadeusza Różewicza i Kornela Filipowicza. Jest to historia szarlatana, niedokształconego lekarza, który grasuje wśród naiwnych i udziela im „porad”. Przy pomocy „wieszczki” Wiktorii — Zenon Aksamitowski wyłudza kosztowności i pieniądze od swoich podopiecznych.

Ale takie streszczenie fabuły jest zbyt proste i nie oddaje istoty problemu poruszanego przez realizatorów (reżyser: Stanisław Różewicz, kierownictwo produkcji: Konstanty Lewkowicz). Oczywiście, fabuła filmu polegać będzie na pewnej kryminalnej intrydze. Ale problem jest głębszy.

Scenopis filmu przewiduje charakterystyczną scenę rozmowy pomiędzy Aksamitowskim a inż. Chaberskim, ojcem dziewczyny, która przeszła chorobę „Heine-Medina” i jest nieuleczalną kaleką. „Doktor” każe jej zaciśnąć w dłoniach kulki staniolu i... myśleć o nim. To ma kalekę uzdrowić.

Chaberski mówi: — Nadzieja, którą pan ofiarowuje mojej córce jest zbrodnią!

Aksamitowski: — Ale ludzie chcą wierzyć, że cuda zdarzają się. To im pomaga żyć i znosić cierpienia. Człowiek to nie jest skórzany worek, w którym jest trochę psujących się wnętrzności. To jest coś więcej... Człowiek będzie zawsze potrzebował w życiu trochę metafizyki... Niech pan nie zapomina, że z moich usług korzystają tylko ci, którzy sobie tego życzą...

A więc — dramat postaw, dramat psychologiczno-obyczajowy. Od początku karty są wyłożone na stół i wiemy „kto jest kto”. Ludzie wykorzystywani przez Aksamitowskiego — bogata staruszka, kaleka dziewczyna, porzucona stara panna, są kierowani w ślepe uliczki przez tych, którzy wykorzystują ową „metafizykę” dla własnych, materialistycznych celów. A więc — analiza psychologiczna bohaterów, którzy są nieszczęśliwi i chwytają się wszystkiego, ponieważ potrzebują złudzeń. A więc — galeria typów, przekrój wielu środowisk i uchwycenie ważnego problemu społecznego i obyczajowego.

Ten interesujący film otrzymał doskonałą obsadę aktorską. Rolę Wiktorii gra Wanda Łuczycka, starszki — Tatjana Czechowska, porzuconej dziewczyny — Danuta Szaflarska, wreszcie główną rolę Zenona Aksamitowskiego — Kazimierz Rudzki. Ponadto występuje w filmie cała plejada aktorów ze wszystkich ośrodków kraju w wielu rolach epizodycznych. I — tu właśnie zaczynają się trudności, o których rozmawiamy z kierownikiem produkcji, — Konstantym Lewkowiczem.

„Łódź jest nieprzychylna dziesiątej muzy — powiada



Danuta Szaflarska w filmie „Głos z tamtego świata”

Fot. F. KADZIOLKA

p. Lewkowicz. — Mamy szalone trudności z zapewnieniem pokoi w hotelach dla aktorów. Oto np. dziś otrzymuję wiadomość, że naszych aktorów usuwa się z hotelu, ponieważ przyjechała wycieczka zagraniczna. A przecież aktorzy są od 6 rano do 8 wieczór na planie, bez przerwy w ogromnym napięciu nerwowym. Aby ich sprowadzić, musimy niekiedy wykupywać całe przedstawienia teatralne, kosztując diety, przejazdy. Po tak wyczerpującym dniu pracy aktor musi mieć własny kąpiel, gdzie mógłby odpo-

cząć. Albo inna sprawa. Kręciliśmy scenę balu w „Malinowej”. W połowie zdjęć powiedziano nam, że musimy salę restauracyjną opuścić (to znaczy przerwać zdjęcia, zwolnić aktorów, zebrać reflektory, wywieźć kamerę, przerwać pracę kilkudziesięcioposobowej ekipy), ponieważ... będzie się wydawało obłądki. I to, mimo, że uprzednio wszystkie szczegóły organizacyjne zostały z kierownictwem „Malinowej” omówione. Czy więc nie mam racji twierdząc, że Łódź jest miastem „nieprzychylnym” filmowi?”

Słuszne to uwagi — lecz z drugiej strony dziennikarz przebywał na planie przez dwa dni, około 7 godzin czyli 420 minut. Przez tych 420 minut reżyser nie mógł znaleźć nawet 10 minut, aby z nim porozmawiać... Tak więc kij ma dwa końce, a medal dwie strony...

Nie wątpimy jednak, że mimo kłopotów organizacyjnych nowy polski film „Głos z tamtego świata”, spotka się jeszcze w tym roku z uznaniem i zainteresowaniem publiczności.

ALINA GRABOWSKA

MARIA KORNIATOWSKA

ANTYFELIETON

Stajemy się narodem filistrów. Trudno to ukryć. Trudno nie dostrzec tego faktu nieco szokującego w kraju młodym i rewolucyjnym. Nie wolno zresztą lekceważyć pozytywnych stron tego zjawiska. Ustatkowaliśmy się. Osiągnęliśmy stadium pewnej stabilizacji. Budujemy warunki normalnej ludzkiej egzystencji, utwierdzając jednocześnie ekonomiczną pozycję kraju. Magnis itineribus ścigamy Europę, ba, samą Amerykę! Kształtuje się w nas nowa mentalność, mentalność posiadaczy lodówek, telewizorów i samochodów. Rośnie poczucie nowej hierarchii społecznej nie bez związku ze społecznym podziałem owych telewizorów i samochodów. Najzabawniejszym w tej całej sytuacji wydaje się fakt odwrócenia pewnych tradycyjnych już niemal pojęć.

Jeszcze 60 lat temu młodzi mężczyźni z radością o krzykiem eviva l'arte! przedkładali podarte buty nad syte, mieszczańskie dostatki. Dziś mówi się nie tyle o sztuce ile o Peugeotach i Mercedesach. Młode pokolenie lat 60-tych marzy nie tyle o ruszeniu z posad świata, ile o zdobyciu posiadłości, które by mu pozwoliły znaleźć się w upragnionym komisyjnym świecie, gdzie istnieją elektryczne maszyny, do golienia, magnetofony i inne „luksusy”.

Czy pamiętacie bohatera filmu „Do widzenia do jutra” — młodego, „romantycznego” artystę wzdychającego

cego daremnie do komisowej panny z własnym samochodem? Czy pamiętacie straszliwy i jakże uzasadniony w oczach autorów filmu kompleks niższości, na jakie cierpiał ów młody człowiek w stosunku do dziewczyny, reprezentującej bądź co bądź zagranicę dewizy i wszystkie możliwości życiowe ukryte przeczornie za ogrodzeniem ambasady. Czy nie odczuwacie niesmaku?

Kompleks pseudokomfortu przenika wiele naszych filmów od „Szklanej Góry” począwszy, a na „Niewinnych czarodziejach” skończywszy. Ale szczególnie interesujące studium w tej materii stanowi „Nóż w wodzie”. Film ten jest dziełem młodych twórców. Jego bohaterowie są również ludźmi młodymi. I jednych i drugich fascynuje luksus. Najprzeróżniejsze przedmioty, zagraniczne, oczywiście pochodzenia, urastają w filmie Polańskiego do rangi rzeczy samych w sobie. Stają się obiektami jakiegoś zapamiętałego kultu zarówno ze strony samych twórców jak i postaci filmu: posiadacza — Niemczyka i tego co nienawistnie pożąda — Malanowicza.

Film staje się chwilami nabożnym obrzędkiem, mszą posiadania i ubóstwiania rzeczy, odprawianą na oczach zlaknionego widza. Przedmioty o czysto użytkowej funkcji urastają do znaczenia symboli podobnie jak dewizy Tuszyńskiej w „romantycznym” filmie Morgensterna. Ludzie dzielą się na 2 kategorie, na tych co

już mają i tych co pragną mieć, co będą mieli jutro. Na takim podziale opiera się układ świata i rządzące nim prawa.

Nie tak trudno dostrzec pewne podobieństwo sytuacyjne między filmem Polańskiego a wcześniejszym o parę lat dziełem francuskiego reżysera Malle'a pt. „Kochankowie”. Malle również pokazuje „bogate” i znużone sobą małżeństwo. Pewnego, pięknego letniego dnia w życiu kobiety zjawia się młody i „biedny” chłopak, chłopak lekceważący i sam komfort i konwencje jakie narzuca on swym posiadaczom. Kobieta rzuca wszystko co ma, zwabiona smakiem czegoś nieznanego, nieuchwytnego, smakiem wielkiej przygody czy też wielkiego złudzenia, smakiem jednej szalonej nocy, która znaczy dlań więcej od wszystkich Peugeotów i Mercedesów. „Kochankowie” są repliką, są pełną pasją polemiką z cywilizacją lodówek i telewizorów, z pokoleniem nowych strasznych mieszczan żyjących w pięknych, nowoczesnych mieszkaniach. Nas jeszcze nie stać na taką polemikę. Dziewczyna z filmu Pola-

skiego nie odeszłaby ze „szczeniakiem” i on by jej nie miał zamiaru zabierać ze sobą. Dziewczyna z „Nóża w wodzie” nie dojrzała jeszcze do tego, by wychylić się poza konwencje stanu posiadania.

Z jakimi uczuciami oglądała polska widownia „Mojego wujaszka” — jeden z najzjadliwszych pamfletów na współczesnego filistra i stworzony przezeń superluksusowy świat? W filmie Tati ubóstwiana rzeczywistość przedmiotów zwraca się przeciwko człowiekowi. Człowiek ginie, zwycięża komfort. „Mój wujaszek” nie cieszył się u nas wielkim powodzeniem. Powodzenie i „Oscara” zdobył w Ameryce. Czyż to nie znamienne?

Nie chodzi o to aby od dziś palić na stosach lodówek, telewizorów i aut. Chodzi o to, by przywrócić im ich normalne właściwe miejsce, w świecie przedmiotów użytkowych. Nie robmy z nich fetyszów kultury, postępu, nowoczesności i szczęścia. Nie kłaniajmy się nowym bożkom. Nie propagujmy z naszych ekranów mieszczaństwa w nowym celiowsko-plastykowym wydaniu.



Kazimierz Rudzki w roli Aksamitowskiego

Fot. F. KADZIOLKA

MIESZANKA
FILMOWA

ndatlosi

str.
3

Łatwiej być studentem niż absolwentem



Dalszy ciąg
ze str. 1

rzadku. Kiedyś wystarczał nam sam, goły niejako fakt pełnej demokratyczności naszego systemu oświatowego. Każdy może się uczyć, dla każdego miejsce w szkole. Teraz mówimy, to bardzo pięknie, ale miejsce w szkole nie oznacza jeszcze odpowiedniego miejsca w życiu, powiadamy więcej — nie każdy, kto do szkoły wejdzie, wychodzi ze świadectwem jej ukończenia, nie każdy kto ma maturę dostanie się na wyższą uczelnię. Wiadomo, około połowy wychowanków naszych liceów ogólnokształcących, pozbawionych jakiegokolwiek zawodu, kończy wraz z maturą edukację i dosyć bezradnie szuka gdzieś tu, czy tu, jakby tu,

NIE KAŻDY, KTO DO SZKOŁY WEJDZIE...

Oj, naprawdę nie każdy, raczej rzadko który. Pracownia Badań nad Szkolnictwem Wyższym podaje, że spośród 549 studentów przyjętych na Uniwersytet Łódzki w roku 1956/57, aż 297, a więc 54,1 proc. przerwało naukę i poszło sobie na zieloną trawkę. Tylko 176 studentów, czyli zaledwie 32,1 proc. ukończyło studia w terminie. Na pierwszym roku łok, na ostatnim puchy. Nim sobie to smutne zjawisko jako tako skomentujemy, jeszcze kilka niewesołych danych. Spośród wystarczająco reprezentatywnej grupy studentów naszej Akademii Medycznej tylko 29 procent z Wydziału Stomatologicznego ukończyło studia w terminie. Mowa o ubiegłym roku akademie-

kim. Na Politechnice Łódzkiej jeszcze gorzej. 21 proc. studentów Wydziału Elektrycznego i 6 proc. Wydziału Mechanicznego uczyło się normalnie. Coś tu doprawdy „nie gra”. Nasze zęby zostaną bez opieki, światło będzie się psuło, no mniej-sza o to, przeraża fakt olbrzymich kosztów! Student Politechniki, czy Akademii Medycznej to nie jest taki „tani wydatek”, wystarczy tylko policzyć stypendia, wyposażenie pracowni, koszty ich eksploatacji. Co gorsza, demokratyczna zasada powszechności staje się trochę fikcją. Mówimy — droga wolna i gładka, a mało kto po niej chodzi. Mimo woli żał jest człowiekowi tych, których nie przyjęto na pierwszy rok studiów. Może oni byliby pilniejsi?

NIE MA SKUTKÓW BEZ PRZYCZYNY

Pewnie, że nie ma. W roku 1960 wspomniana już pracownia przebadła 1247 studentów z wybranych kierunków studiów uczelni warszawskich, krakowskich, wrocławskich, poznańskich i lubelskich. Wyniki badań wyjaśniają w dużej mierze niepowodzenia studentów w nauce. Nie wszyscy studenci, którzy repetują, czy odpadają, muszą być osłami. Osły, rzecz prosta nie wy-marły, jest to gatunek niezwykle żywoty, znany już w starożytnej Grecji, dotrwa pewnie do końca świata, a może jeszcze dłużej. Ale, powiadam, nie ma co rozwijać osłologii, jako nauki wyjaśniającej, gdyż przyczyny niepowodzeń tkwią przede wszystkim gdzie indziej. Oto niecałe 10 proc. studentów powiada, że jest ze zdrowiem w porządku. 49,2 proc. mówi wyraźnie o złym stanie zdrowia, 22,7 procent podkreśla, że właśnie kiepskie zdrowie stanowi najistotniejszą przeszkodę w nauce. Wnioski są zbyt oczywiste, aby je specjalnie formułować.

Pomówmy o innych przy-



Teoretyk Malthus

Dalszy ciąg
ze str. 1

porównania — Albania 38,5 p.m. to jest największy w Europie wschodniej, NRF — 6,4 p.m., NRD — 4,4 p.m.) W Kingston na Jamajce ogłoszono kontrolę urodzin. W Indonezji na zlecenie prezydenta Sukarno prasa propaguje ograniczanie przyrostu. W Japonii prowadzi się szeroką akcję uświadamiającą, która poprzez odczyty, reklamy, ośrodków świadomego macierzyństwa wpływa na zmniejszenie liczby urodzin. Bardzo trudno było przełamać w tym kraju zakorzenione tradycje. W dniu dzisiejszym z akcji uświadamiania jacej korzysta — w Japonii około 45 proc. małżeństw. Przyrost z 1947 r. wynoszący w tym kraju 34,3 p.m. zmniejszył się w 1960 r. do 17,1 p.m. Ale akcje tego rodzaju są tylko półśrodkami.

Wzrastające zaludnienie na ziemi stwarza palący problem gospodarczy, mieszkaniowy, socjalny, psychologiczny i filozoficzny. Najważniejszym zadaniem ludzkości jest utworzenie ścisłej nowej kontroli urodzin oraz rozwiązanie problemu wyżywienia, zamieszkania i pracy.

Punkt pierwszy jest bardzo dyskusyjny. Stanowisko kościoła w tej sprawie jest od lat negatywne. Już w 1930 r. Pius XI w swej encyklice zalecał małżeństwom życie według naturalnych zasad. W tym samym roku na terenie USA działał jezuita i moralista John Ford, nawołujący do tego samego. Pius XII odrzucił propozycję regulacji urodzin jako przeciwstawienie się zasadom i naturze. Jan XXIII nie zmienił stanowiska Kościoła w tej sprawie, mimo że w encyklice „Mater et magistra” z 1961 r. pisał:

czynach, które tkwią, moim zdaniem, w samej atmosferze, jaka — widać to — panuje na naszych wyższych uczelniach. 42,8 procent studentów powiada, że nie może w żaden sposób nawiązać bliższego kontaktu z wykładowcami i to im bardzo przeszkadza w nauce. Podziwiam skromność młodzieży. Kto tu z kim powinien nawiązać kontakt? Przecież podstawą każdej pedagogiki jest umiejętność nawiązania kontaktu z wychowankiem. Czyżby pedagogika akademicka stanowiła wyjątek? Niestety, tak się często dzieje.

Pedagogiki akademickiej na dobrą sprawę nie ma, nie ma bowiem wychowanka, jest tylko student, a więc istota już gdzieś wcześniej wychowana. „Kolega obsługuje” — powiada nam kelner z uspołecznionej restauracji. W interesującym nas przypadku ten kolega to — nauczyciel szkoły podstawowej i średniej. Tymczasem student wcale nie jest wychowany, większość badanych powiada, że nieumie-

PRZELUDNIENIE

— „można w otaczającym nas świecie zobaczyć skalę, która w stosunku między zaludnieniem, a możliwym zaopatrzeniem, już teraz umożliwia przewidywanie poważnych trudności.”

Prezydent Kennedy w grudniu 1961 r. (a więc po obliczeniach Hausera) wypowiedział się za kontrolą urodzin i założeniem patronatu nad urodzinami: — „O to wolą wciągać wzrastającą liczbę ludności na całym świecie. Indie, które sto lat temu liczyły 165 mln. mieszkańców, obecnie bez Pakistanu mają 438,5 mln ludności.” Wydaje się, że społeczeństwa coraz bardziej zdają sobie sprawę z korzyści wpływających z kontroli urodzin. O problemie przeludnienia pisał Karol Marks — „Wszystkie problemy przyszłości ludzkości należy rozwiązywać na drodze techniki socjalistycznej”. Problem miej-



Demograf Hauser

sca na ziemi trzeba rozwiązać przy pomocy uświadomienia seksualnego młodzieży i wykorzystania mało zaludnionych obszarów — takie są założenia KC KPZR. Pierwszym człowiekiem, którego zaabsorbowało przeludnienie był Thomas Robert Malthus (1766—1834), ekonomista angielski, autor „Prawa ludności”. Wierzył on, że ludzkość wzrasta w postępie geometrycznym, a ilość środków żywności w arytmie tycznym. Nadmiernym przyrostem ludności tłumaczył niedzę mas. Jego pesymistyczna teoria głosiła nieuchronność kataklizmów i wojen, które są uwarunkowane przeludnieniem (są przez nie wytwarzane) i tylko one są zdolne regulować naturalny przyrost ludności.

Współczesna demografia odrzuca twierdzenia Malthusa. Źródło wzrastającego przyrostu naturalnego dopatruje się w uprzemysłowie-niu, polepszeniu higieny i warunków socjalnych, postępie medycyny i wzrastającej stopie życiowej. Zamykając omawianie punktu pierwszego tj. problemu kontroli urodzin, zacytuje wybitnego amerykańskiego demografa prof. Ansleya Coale, który stwierdził, że „przyrost naturalny będzie duży do czasu, kiedy narodowi pozostaną tylko dwie możliwości: albo zmniejszenie przyrostu, albo zwiększenie śmiertelności.”

Drugim nie mniej ważnym problemem, przed którym staje ludność jest kwestia wyżywienia, zamieszkania i pracy. Na skutek przeludnienia, od roku 1945 do 1955 zużyte produktu globalnego na wyżywienie ciągle wzrasta. W 1939 r. wynosiło ono około 39 proc., a w 1950 r. już 62 proc., co dało 2200 kalorii dziennie na jednego człowieka, podczas gdy powinny one zamykać się liczbą 2500.

Jak wobec tego zapewnić egzystencję miliardom ludzi, jeśli przyrost w latach 1960—2000 będzie o wiele szybszy? Ciągłe wzrasta zapotrzebowanie na produkty naturalne i przed ludnością stoi ogromne zadanie zaopatrzenia w dostateczną ich ilość. Trzeba zdecydowanie zmierzać do ustalenia rozwoju wszechstronnej pomocy dla ludności. Zadania te zmierzają przede wszystkim do zlikwidowania analfabetyzmu, mechanizacji gospodarki i masowego uprzemysłowienia. Należy realizować te zadania teraz, bo w roku 2000 będzie już za późno. Dużą pomocą mogą tu służyć takie dziedziny jak pedagogika, planowanie, polityka i psychologia.

Wybitny znawca tego zagadnienia prof. Baade wytacza program wyżywienia na najbliższe 40 lat. Aby sprostać temu zadaniu należy: rozszerzyć powierzchnię rolną, intensywniej wykorzystywać ziemię, lepiej wykorzystywać obszary wodne. Z 213,5 mld. hektarów stałej powierzchni ziemi, wykorzystywane jest obecnie ledwie 113 mld. Baade utrzymuje, że od zaraz można wykorzystać 4 mld. hektarów, a przy odpowiedniej

uprawie, nawożeniu i mellowacji żywności dla 6,6 mld. ludności jest zapewniona. Baade obliczył, że lata 1980 do 54 miały światowe zapotrzebowanie nawozów na 31 mln. ton. Uważa on, że potrzebne jest 60 mln. ton nawozów, które zapotrzebowanie w dniu dzisiejszym. Można w pełni wykorzystywać Przy lepiej zorganizowanej gospodarce morskiej można by wyłowić o wiele więcej ryb. Potrzebna jest więc intensyfikacja przetwórstwa rybnego, pomnożenie obiektów gastronomicznych, lepsze wyposażenie tych obiektów, ulepszenie transportów, wykształcenie nowych kadr.

Do innych problemów należy wykorzystanie siły wojennej. W Europie jest ona wykorzystywana w 21,6 proc. ale w Ameryce 0,1 proc. Otwierają się miejsca pracy. Powinno wzrosnąć produkowanie sztucznych, które w latach 1953—54 wynosiło 20 mln. ton, a w 2000 r. powinna osiągnąć 720 mln. ton. To samo inne dziedzinie przemysłu, gdzie znajdują trudniejsze ciągle przybywa-

jący ludzie.

Co do problemu zatrudnienia, to ziemia jest w stanie pomieścić ludzkość, w czym pomoże jej opanowanie przestrzeni kosmicznej, planety niefunkcyjnej. Czy projekt zostanie zrealizowany? Odpowiedzą nam na to najbliższe lata.

Na podstawie „Der Spiegel” opracował: T. W.



nie tylko do programu nauczania, ale i do kadry wykładającej.

A CZYM JĄ W KOŃCU BĘDĘ?

Właśnie, czym? Pytanie ogromnie pasjonujące. Współspół socjologów naszego Uniwersytetu postawił je student z Warszawy i Łodzi. Próba dostatecznie reprezentatywna, przebadano bądź co bądź, 500 akademików. Wyniki są trochę skakujące. 50 procent polonistów, matematyków i fizyków chce, lub przynajmniej decyduje się na wód nauczycielski. Wcale nieźle. Równocześnie jednak 39 proc. polonistów pragnie pracować w gazetach. Prawdy, nie boję się konfurencji, chodzi mi o nierealność takich planów ciłowych. Żeby zaspokoić



WACŁAWA KASPRZAK

Zdjęcia: L. OLEJNICZAK

STAROŚĆ - RADOŚĆ?

Mała tabliczka na drzwiach z napisem: Oddział Geriatryczny. Przekraczamy próg Oddziału z kierowniczką I Zakładu Specjalnego w Łodzi — Emilią Bokowicz i naczelnym lekarzem zakładu dr med. Kingą Wiśniewską-Roszkowską. Oddział nie jest duży, posiada 32 łóżka. Ustawiono je po kilka w boksach oddzielonych od siebie ściankami. Wszędzie pełno kwiatów i idealna czystość. O kwiaty dbają sami pensjonariusze, a przede wszystkim Katarzyna Klimaszewska, dobrze tu znana wszystkim panna Kasia. Panna Kasia ma wprawdzie 75 lat, ale ten kto nie znałby daty jej urodzin nie posądził by tej niezwykle ruchliwej, żywotnej osoby o tak podeszły wiek. Katarzyna Klimaszewska wróciła właśnie z miasta, gdzie załatwiała jakieś sprawy osobiste.

— Jak się pani czuje? — pytamy.

— Zupełnie dobrze, czasem trochę dokuczają mi reumatyzm, ale na ogół nie narzekam.

Na wstępie „sypialnia 90-latków”. Tu mieszkają sami mężczyźni: Franciszek Kalenik, Antoni Świątek, Wawrzyniec Dudek, Władysław Kulicki i najmłodszy, liczący 74 lata Leon Kulak. Władysław Kulicki przybył niedawno do zakładu w stanie takiego niedołęstwa, że prawie nie mówił i zupełnie nie opuszczał łóżka. Po kilku miesiącach zaczął już wstawać, chodzić i rozmawiać.

Przypadków takiej poprawy notujemy sporo. Agata i Ignacy Rusek to małżeństwo — on liczy 70 lat, ona 76. Obydwójce czują się jesz-

cze zupełnie dobrze. Nie jest to zresztą jedyne małżeństwo na Oddziale Geriatrycznym.

Dr Roszkowska zna tu każdego niemal na wylot. Nie tylko jako lekarz, ale także jako dobry psycholog. Przebywa przecież w zakładzie 7 godzin dziennie i to nie tylko w swoim gabinecie, ale przede wszystkim wśród pensjonariuszy. Oddział Geriatryczny stworzyła przed rokiem. Gdy wérbowała do niego chętnych wielu grymasiło. W tym wieku między 75 a 90 rokiem życia, ludzie nie lubią zmian. Mimo to zebrało się 30 odważnych, których pociągało odmładzanie.

Czy rzeczywiście tu, na Oddziale Geriatrycznym odmładza się starych ludzi? Czy osoby tak zaangażowane w życie w latach i niestety nie wolne od rozmaitych chorób, można w ogóle odmłodzić? Czy można przedłużyć im życie? Na wszystkie te pytania na podstawie tego co zobaczyłam na Oddziale Geriatrycznym i na podstawie niezwykle ciekawej rozmowy z dr Roszkowską, trzeba odpowiedzieć — twierdząco.

Starość nie radość — tak mówi przysłowie i ciałe jeszcze ma rację. Ale samo pojęcie starego człowieka nieco się zmienia. Osiągnięcia medycyny pozwalają na przedłużenie życia człowieka, na zwiększenie okresu tego, co rozumiemy pod słowem młodość. Młodość kończy się naturalnie nie od razu, nie jednego dnia a stopniowo, kiedy w organizmie człowieka rozmaite procesy życiowe zaczynają stopniowo przebiegać z coraz mniejszą sprawnością.

Uczeni znajdują wiele rozmaitych przyczyn tych zjawisk — jak zużycie się organizmu przez wyczerpanie pewnego wrodzonego zapasu energii, samozatrucie związane z nagromadzeniem się w komórkach i sokach ustroju substancji toksycznych, przekarmienie w okresie dojrzałości i wiele in-

szowa, a rozrasta się tzw. tkanka łączna czyli bliznowata. Narządy kurczą się i zmniejszają (marszczą się niejako, stąd nazwa tego stanu marskość). Wydolność ich naturalnie znacznie się zmniejsza. Postępujący zanik tkanki czynnej prowadzi m. in. do rozemdy płuc, zwyrodnienia mięśnia sercowego i starczej niewydolności wątroby i nerek.

W ciągu życia nagromadzają się w tkankach niedostatecznie wydalone szkodliwe produkty przemiany materii, co na starość również zmniejsza zdolność działania poszczególnych narządów. Niedostatecznie zubożniane i wydalone toksyczne substancje krążą we krwi i wydala się z potem i oddechem co powoduje przykry zapach. Ustroj starczy zawiera znacznie

nacierania, masaż i szczotkowanie skóry.

— Gdy dr Roszkowska zaczęła u nas pracować — opowiada kierowniczka, pani Bokowicz — zrewolucjonizowała naszą kuchnię. Odżywialiśmy naszych pensjonariuszy za tłusto i za ciężko.

— To niezwykle ważne w walce ze starością — podkreśla lekarka. Dieta musi być lekkostrawna i nietoksyczna. Zmusza do tego już choćby brak zębów i osłabienie przewodu pokarmowego. Słabe wydzielanie sily i soków trawiennych sprawia, że starcy często mają apetyt na potrawy pikantne jak śledzie, wędliny itp., ale niestety nie mogą ich strawić. Stąd załeganie i gnicie w jelitach, a potem biegunki i zanieczyszczanie się. Dlatego najlepsza jest dieta bezmięsa, mleczno-jarska, z ograniczeniem soli i tłuszczów zwierzęcych. Potrawy smażone i wędzone są zupełnie na indeksie. Pożądane jest za to jedzenie owoców i jarzyn, zwłaszcza zielonych, np. sałaty. I jeszcze jedno: na starość nie wolno przejadać się i tyć. Pewien znawca tych spraw, który sam dożył 104 lat, ujął to lapidarnym twierdzeniem, że po czterdziestce najlepiej pomaga nam pokarm... nie zjedzony. W każdym razie pewne jest, że obficie witaminowa i skąpo kaloryczna dieta najlepiej chroni od chorób i przedłuża młodość.

— A czy wasi pensjonariusze często chorują? — pytamy dr Roszkowską. Jak znieśli np. ostatnią epidemię grypy?

— Na Oddziale Geriatrycznym grypy było niewiele, ale w całym zakładzie atakowała ona dużą ilość osób. Mimo tego jednak, że około 100 osób przeszło pogrypowe zapalenie płuc, prawie wszyscy, z wyjątkiem kilku dosłownie osób, powrócili do zdrowia. Zasluga to, naturalnie, lekarzy, którzy grypę wcześniej rozpoznawali. A trzeba wiedzieć, że u starców rozpoznać grypę nie zawsze jest łatwo. Czasem tylko tak nietypowe objawy jak biegunka, albo dziwna senność i zły wygląd zdradzają inwazję wirusa. Organizm starczy traci zdolność do silnych reakcji zapalnych. Gorączka, obrzęk, ból zajętego narządu — to wyraz walki organizmu z zakażeniem. Na starość reakcje te są bardzo słabe, a często nawet zupełnie niedostrzegalne. Organizm słabo się broni i szybko ulega. Stąd nieraz pozornie bardzo lekka grypa szybko sprowadza ciężkie komplikacje płucno-sercowe. Toteż przy najbliższych objawach przeziębienia lub grypy u starców, od razu trzeba stosować zapobiegawcze leki nasercowe i antybiotyki.

Rozmawiając z pensjonariuszami Oddziału Geriatrycznego zwróciłam uwagę na pogodę ducha jaką ich cechuje, zadowolenie z warunków i uśmiech na twarzy. Zupełny brak zgorzknienia, pośpiechu jakiegoś cechuje przecież nieraz starców. Jak mi wyjaśniła dr Roszkowska jest to m. in. wynik specjalnych kuracji geriatrycznych, na które składają się nie tylko środki farmaceutyczne, ale i właściwe odżywianie, higiena i troska o odpowiednią rozrywkę. Oto np. w tym momencie przyszła na oddział opiekunka, która rozpoczęła czytanie zajmującej, pogodnej książki. Dobrym duchem oddziału jest siostra Irena Raciecka. Ma już 68 lat i jest rencistka, ale nie przestaje pracować i nie przestaje być młodą. Rozumie swych pensjonariuszy i umie z nimi postępować. Dla każdego znajdzie dobre słowo, miły uśmiech i pomoc niesioną razem z lekarzem.

Kora mózgu — siedlisko życia psychicznego i inteligencji — odgrywa wielką rolę w procesie starzenia się, gdyż pośrednio, lub bezpośrednio rządzi wszystkimi procesami żywymi tkanek i narządów. A trzeba wiedzieć, że podczas gdy inne narządy mogą częściowo odnawiać się przez tworzenie nowych komórek na miejscu obumarłych (największą zdolność tego rodzaju posiada krew), mózg nie ma tych zdolności. W ciągu życia nie powstają w nim żadne nowe komórki. Te, z którymi przychodzimy na świat muszą nam wystarczyć na całe życie.

Naukowcy obliczyli, że ludzka kora mózgowa przy odpowiednim postępowaniu powinna wystarczyć na 150 lat. Im szybciej zniszczymy korę mózgową — mówi lekarz — tym szybciej starzejemy się i umieramy. Dlatego tak ważne jest unikanie wstrząsów psychicznych, spokojne, uregulowane życie, dobry humor i właściwie stosowany wyżywienie. Słowem — higiena psychiczna.

Toteż odmładzanie prowadzi jednocześnie do zmiany psychiki starce. Człowiek leczony pozbawia się dźwięków, stanów lekowych, urojeń, uspokaja się nerwowo. W parze z tym idzie, jego wygląd zewnętrzny. Skóra nabiera lepszego wyglądu, wygładzają się zmarszczki. Patrząc na staruszków z Oddziału Geriatrycznego niejednemu można pozazdrościć stosunkowo młodej twarzy. Nikogo tu np. nie dziwi, że 89-letni Aleksander Focpaniak niezwykle dba o swój wygląd

Dokończenie
na str.
6

go rodzaju ambicje, bardzo zresztą chwalebne, musieliśmy rokrocznie otwierać kilkanaście nowych pism, przeważnie dla poetów o krótkim nowocześniejszym, krytyków ogromnie hermetycznych i prozaików niezwykle zrozumiałych. Pewien procent prawników także gustuje w zawodzie dziennikarskim, geografowie natomiast zdradzają niepokojącą dezorientację. 21,1 proc. spośród nich powiada szczerze, że nie wiem, czym będzie. Ta dezorientacja tkwi z pewnością w atmosferze niektórych wyższych uczelni. Jakich fachowców potrzebujemy kraj, które specjalności bardzo są poszukiwane, które wcale nie są poszukiwane, jakie tendencje rozwojowe i zapotrzebowanie wykazują w przyszłości tej bliższej i tej dalszej — poszczególne dziedziny życia gospodarczego, czy kulturalnego — na te pytania niełatwo znaleźć studentowi odpowiedź. 80 proc. badanych stwierdza, że ich głównym źródłem informacji są starzy koledzy.

Dlaczego? Gdybym umiał na to pytanie dokładnie i bez reszty odpowiedzieć, pewnie bym w ogóle nie pytał. Ale odpowiedź częściowo — proszę bardzo.

Dyrekcje naszych zakładów pracy uważają za zbyt ciężki kawałek chleba stały kontakt z uczelniami. Badania przeprowadzone w Pracowni Badań nad Szkolnictwem Wyższym aż nadto wymownie o tym świadczą. W sprawie zatrudnienia absolwentów wypowiedziało się 2,622 zakłady pracy z 10 głównych resortów. 1,107, czyli około 42 proc. w ogóle nie przewiduje ani teraz, ani w przyszłości zatrudnienia ludzi z wyższym wykształceniem. Ładna historia, prawda? Mówimy o postępie, naukowej organizacji produkcji itepe, itepe, a oni magistrów nie potrzebują. Tylko 725 zakładów, a więc 27 proc. utrzymuje kontakty z wyższymi uczelniami. Dobrze spisuje się stosunkowo resort Min. Rolnictwa i Min. Żegluga, bardzo kiepsko interesujące nas w Łodzi najbardziej Min. Prze-

mysłu Lekkiego. W tego rodzaju warunkach, bynajmniej nie lekkich, blisko 70 procent absolwentów, otrzymało pracę dzięki własnej inicjatywie. Troszę szczęścia, trochę znajomości i posada jest.

Ustawa o wstępnym stażu pracy bywa, niestety, za często, zwykłą fikcją. Aż przykro pisać: absolwentów zatrudniało tylko 841 zakładów spośród badanych. Lecz stażystów można się doliczyć zaledwie 37 procent, 56 procent poszło na pracowników umysłowych, 7 procent dostało etaty pracowników fizycznych, co czyni ze szlachetnej ustawy niezbyt udaną karykaturę.

Zakłady pracy powiadały: nie mamy miejsca, co zapewne jest nie zawsze zgodne z prawdą. Powiadały też: nie dajcie nam magistrów naszej specjalności (np. obojowników) i mają chyba dużo racji. Nikt, oczywiście nie przystosuje idealnie programu nauczania wyższych uczelni do zmieniających się wymogów życia, ale trzeba pomyśleć o nowych specjal-

nościach. Powiadają wreszcie, że absolwenci nie nadają się do pracy. To bardzo niesprawiedliwa opinia. Przecież nikt się nie urodził głównym technologiem Zakładów im. Marchlewskiego, gdzie są nowoczesne maszyny, ani zakładów Dzierżyńskiego, gdzie — dla odmiany — maszyny są bardzo stare. Jeżeli lekceważy się ustawę o stażu pracy, jeżeli obrządzenie młodego magistra w świat produkcji, przed-

stawia się dosyć niewesoło, skutki nie dają na siebie czekać.

Według badań, znowu z przykrością to piszę, 25 procent absolwentów z roku 1958 porzuciło pracę, bo trudności mieszkaniowe, bo kiepskie uposażenie itp. W każdym razie 42 proc. tych absolwentów nie posiada własnego mieszkania, 15 proc. mieszka „kątem”, u dobrych ludzi, 27 proc. wędruje po hotelach robotniczych.

Proszę zdać sobie sprawę z tego bezsensu, z tych kosztów. Spośród pierwszoroczniaków, mniej więcej co czwarty uzyskuje dyplom w przepisowym terminie, a później co czwarty porzuca pracę.

Myszę, że nie takie głupie jest znane porzekadło studentek: łatwiej być studentem, niż absolwentem. Może dlatego spotykamy tylu repetentów na wyższych uczelniach?

W. JAŻDŻYŃSKI



Zdjęcia: E. KUDAJ

Starość -radość?

Dokończenie ze str. 5

zewnętrzny. Ubrany jest nie-nagannie w jasno-tabczko-wą marynarkę i beżowe spodnie. Wygląda najwyżej na sześćdziesięciokilkuletniego mężczyznę. Dba nawet o dobrze zawiązany krawat. Bo to jest również przyczyna dobrego samopoczucia.

O dokładnych wynikach kuracji odmładzających w pierwszym zakładzie specjalnym trudno jeszcze mówić. Dr Roszkowska przygotowuje zresztą na ten temat specjalną publikację fachową i prowadzi w dalszym ciągu badania naukowe, nad którymi patronat objął jeden z profesorów chorób wewnętrznych Łódzkiej Akademii Medycznej. Można już dziś powiedzieć, że ogromna większość pensjonariuszy wykazuje znaczną poprawę stanu ogólnego i samopoczucia. Niedoleństwo ustąpiło miejsca energii życiowej. Przy zwiedzaniu Oddziału Geriatrycznego nasuwa się myśl: szkoda, że jest on niedostępny dla ludzi z zewnątrz. A przecież istnienie takiej placówki leczenia zamkniętego w formie oddziału szpitalnego mogłoby odegrać w naszym mieście niezwykle pożyteczną rolę. W Polsce oddziałów geriatrycznych nie ma. W Łodzi w oparciu o oddział przy Zakładzie Specjalnym, taka placówka ma duże szanse powstania. Okazja nadarza się m. in. w związku z przeniesieniem 90 osób do nowo budującego się domu na Chojnach. Wtedy w Zakładzie Specjalnym nr 1 zostanie zaistalowany rentgen, EKG, powstanie świetlica, sala gimnastyczna itp. Obecnie już urządziła się laboratorium analityczne. Zakład zatrudnia również masażystów, którzy prowadzą gimnastykę leczniczą. Jest też rozwinięta fizykoterapia. Jak się zorientowałaś kiero-wniczka zakładu oraz lekarz naczelny nie widzą specjalnych trudności zorganizowania placówki z pewną ilością łóżek przeznaczonych dla starszych łódzian. Trzeba podkreślić, że nie pociągłoby to za sobą prawie żadnych kosztów. Oddział już istnieje, należy tylko udostępnić go dla chorych, którzy nie chcą na stałe pozostawać w zakładzie. Na oddział zdanem dr Roszkowskiej można by przyjmować osoby w wieku ponad 50 lat. Leczenie powinno trwać kilka miesięcy, przy czym nacisk położony byłby na dietę, zabiegi wodolecznicze, natryski, kąpiele, masaż i zabiegi fizyko-terapeutyczne. Pacjenci po przejściu kuracji odmładzającej w oddziale dostaliby również pouczenia co do dalszych zabiegów i diety, które można by przeprowadzać w domu.

Przy Oddziale Geriatrycznym mogłaby powstać również poradnia geriatryczna. Niewątpliwie każdy z amatorów na odmładzanie musiałby zrehabilitować swój tryb życia, zrezygnować z nałogów i wielu przyjemności smakowych, honorować gimnastykę, świeże powietrze, uregulowany tryb życia, ale gra byłaby na pewno warta świeczki. Któż z nas nie chciałby być długo młodym?

WACŁAWA KASPRZAK

W STAREJ KUŹNI NAD WISŁĄ

Dokończenie ze str. 1

Wtedy właśnie starosta W te odezwał się słowa: „Pozwól, panie, by nowy Miecz ci wykuli nasz kowal.” „Zgoda, — rzekł młody władca —

Zostajemy tu na noc!” A o świecie miecz nowy Księżu Wiślan podano. Spojrzał książe zdumiony. Nie chciał oczom swym wierzyć. Miecz wyglądał jak dzieło Damascenkich płatnerzy. Dosiadł władca rumaka i z drużyną bez słowa. Do kuźnicy pod lasem. Niby wiatr pocwałował... Młody kowal przed kuźnią Nisko księżu się skłonił. A gdy cała drużyna Poziadała już z koni. Książe spytał kowala: „Jakiej pragniesz nagrody? Chcesz bym ciebie obdarzył Koniem rączym i młodym? Albo jeśli chcesz, dzisiaj Ze mną jedź do stolicy. Takich jak ty kowali Potrzebuję w Wiślicy.” Wtedy kowal rzekł: „Panie, Oto proszę jedynie, Byś mnie bezimiennemu Zechciał nadać dziś imię.” „Zgoda! — książe zawołał — Twoja dłoń miecz mi kula. Włec od dnia dzisiejszego Będziesz zwać się Mikula.”

Wiek za wiekiem przemijał. Las w poręby się zmienił. Ród kowala Mikuly Nie opuścił tej ziemi. I choć nieraz w czas wojen W ogniu stała dąbrowa, Kuźnię dżiada spalona. Włuk budował od nowa. Pod ciosami toporów Bór się zwałił wspaniały. Tylko dęby przy kuźni Z tamtych lat pozostały. Stoją dumnie i szumią Świeżym wonnym listwem O historii tej kuźni Nieskończoną opowieść.

IGOR SIKIRYCKI

Sikirycki nie wylamuje się z kręgu praw świata baśni. I u niego występują postacie królów, mocnych i sprytnych bohaterów, którzy zdobywają serca księżniczek, zwierzęta, które zawierają przyjaźnię z ludźmi. Świat ten ma jednak dość osobliwy koloryt. Król nie wywodzi się z tradycyjnej serii „władców”. Grzegorz z kraju Ziarnonii, który boleje nad tym, że w jego pięknym kraju mąkę mielono ręcznie w żarnach, być może przypomnia króla Konopnickiej, który również chce uszczęśliwić naród i w końcu przekonuje się, że szary len znaczy więcej niż złoto („Jak to ze lmem było”), ale najczęściej jest to postać trochę groteskowa, pełna śmieszności i przywar. Króla oczywiście spotyka zabawna przygoda z rakiem Lobuziakiem, dzięki której król na-

wyobraźni dziecka. Szewczarodziej nie jest prawdziwym czarodziejem, jest tylko sprytnym mistrzem i w tym leży całe odkrycie bajki. Nie przeszkadza to w końcu chodzić naszemu bohaterowi boso, który szewc chodzi inaczej?

Który z pisarzy dla dzieci nie sięga do przysłów, baśni ludowych, przypowieści. „Na liścieczku kalinowym słoweczko po słowie całe serce kochające wypiszę, wypowiem”. To Szelburg-Zarembina. Także H. Januszewska i J. Porazińska sięgają do tego samego źródła. Te bajkowe pierwowzory wzbogacają się często o nowe motywy, jak w wierszach dla dzieci G. Timofiejewa. M. Kownacka do „Rogasia z Doliny Rozłoki” wprowadza przyjaźń dzieci i sieroty jelonka, J. Broniewska opowiada o przygodach laleczki

Piszą o tej literaturze, że jest „szczerą”, „owiana wdziękiem uczucia”, „przepełniona liryzmem”, że świadczy o wielkiej pisarza ze światem przeżyć dzieci; że jest oczywiście czytana. To prawda. Nakiady świadczą o tym dobitnie, sięgają do stu tysięcy, są przy tym prawie natychmiast rozchwytywane. Jest to dobra literatura (ma zły wyjątek, o których teraz nie piszę, właśnie z powodu Dnia Dziecka), która będzie przemawiała do czytelnika i po latach.

A dla nieco starszych? Czy mamy wciąż wolać o nową „Alicję w krainie czarów”? Wydaje mi się, że i tutaj sytuacja nie jest najgorsza, chociaż? Mamy niewątpliwie kilka pozycji, które już „pozostały”. Jest to E. Nizurski ze swoją „Księgą urwisów” i „Dzwonnikiem od świętego Floriana”, do tej samej serii książek, które zdobyły czytelnika należy „W lesie i pod lasem” T. Goździkiewicza: znowu spotykamy się ze starym motywem przyjaźni dziecka z przyrodą, ptakami (las gołębie), w tej przyjaźni bohater szuka ucieczki od smutnej rzeczywistości, dla czytelnika to nie tylko historia dziecka osieroconego. Można w tej serii wymienić cały szereg nazwisk (Zulawski, Zukrowski, Brandys). Dodajmy z naszego łódzkiego podwórka nazwiska Ludwika Świeżawskiego i Zofii Lorentz, autorki „Transportu 77” i „Wakacji pod błaznianym człowieczkiem”. „Transport” podejmuje tematykę okupacyjną. „Wakacje” — to pogodna opowieść o chłopcu i jego przyjaźni „z panią literaturą”. Książki świadczą o dużym znawstwie psychiki dziecięcej, napisane są ciekawie i żywo. Z. Lorentz otrzymała ostatnio II nagrodę w konkursie na sztukę dla Teatru Lalek. Zgodziłbym się z tymi, którzy uważają, że do oceny utworu literackiego, zwłaszcza jeżeli chodzi o literaturę dziecięcą i młodzieżową, oprócz wartości artystycznych należy włączyć dodatkowe kryteria wpływu, jaki wywierają na czytelników. Nasza literatura dla dzieci i młodzieży z całą pewnością nie przeżywa takich kryzysów jak „dorosła”.

KAZIMIERZ BANAS

MATKOM OSAMOTNIONYM

Dokończenie ze str. 2

Była ożywiona jak dawniej, tylko oczy jej jakby z lekka zmatowiały i zapadły się głębiej. O synu już nie wspominała. Minął przecież któryś tam już z rzędu „zapowiedziany” termin jego powrotu...

I znow o niej zapomniano.

I oto przypomniał mi ją ten list. Odczytuje raz jeszcze jej słowa:

„Madry ten Voltaire — a i ja może też nie z tych najgłupszych, bo bez żadnego „ale” zgadzam się z tą filozofią. Serdecznie moje kochane dziecko pozdrawiam”. Czytelniku, zdziwiłeś się może, że ja tak w zupełnie innej „konwencji”. Ano, bo to, proszę Czytelnika, Święto Matki. I kiedy wszystkie mamusie i te najmłodsze, i te młode, i te hm! — pozostałe — od wdzięcznych dziadek i tatusiów zostaną obasypane życzeniami i kwiatami — może by tak i za takimi matkami się rozejrzeć, którym los kazał przeżyć własne dzieci i na osamotnienie skazał...

A jest jeszcze takich matek w naszym kraju sporo... Może i w Waszym sąsiedztwie?



Jubilatce
RSW
„Prasie”
i Jubilatkom —
KOLEGOM
wydawcom
najserdeczniejsze
życzenia składają
„Odgłosy”

Sedno rzeczy MARIAN PIECHAŁ OSTATNIA MIŁOŚĆ BOLESŁAWA PRUSA

„Ostatnią miłością w życiu Bolesława Prusa nie była kobieta, ale młody, jasnowłosy, kędzierzawy chłopaczek, którego oficjalna „prusologia” nazywała dotychczas „wychowankiem Aliny Sacewiczowej i chrześnym synem Prusa” — tak pisze we wstępie do odnalezionych ostatnio listów Bolesława Prusa do Aliny Sacewiczowej Gabrieli Pauszer-Klonowska, ich wydawczyni i komentatorka.

Okazuje się, że ten „młody, jasnowłosy, kędzierzawy chłopaczek”, to wcale nie „wychowanek” Aliny Sacewiczowej, tylko jej syn, którego Bolesław Prus był nie tylko „ojcem chrzestnym”, ale ojcem rzeczywistym. Prawdziwa bomba! Któż by się tego po dobrociowym i jasnym jak kryształ w swoim prywatnym i codziennym życiu Prusie spodziewał? A jednak to prawda. Zonaty i kochający swoją żonę, którą nazywa „Kochaną Lalunią” i „Najmilszym Ptaszeczkiem”, w dodatku nie pierwszej młodości, bo

liczący przeszło 60 lat Prus funduje sobie po kryjomu dziecko z ciepłą jeszcze, bo o 22 lata młodszą od siebie wdówką po dobrym swoim znajomym, „wybitnym naukowcu, doktorze medycyny, Kazimierzu Sacewiczu”, który pracował jako lekarz zakładowy w Nałęczowie, gdzie autor „Lalki” rokrocznie spędzał lato, i gdzie się leczył. Istna sensacja!

Jej wyjaśnieniem zajmuje się ów wstęp Gabrieli Pauszer-Klonowskiej do 56 listów Prusa, listów dotąd nieznanych, a pisanych do matki jego syna w latach od 1898, a więc kiedy mąż jej jeszcze żył, do 1911 roku, a więc kiedy ich syn miał już lat 7. Przy okazji należy sprostować mylną datę urodzin Prusa, na której opiera się Pauszer-Klonowska, a mianowicie 1847, zamiast właściwej 1845. Sprawę tę definitywnie rozstrzygnął Z. Szweykowski w monografii „Twórczość Bolesława Prusa”. Listy rzucają nowe światło na prywatne życie Prusa i na jego charakter —

życie wcale nie tak proste i charakter wcale nie tak nieskomplikowany, jak to dotychczas z uczonych biografii tego pisarza wynikało. W pięćdziesiąt lat po śmierci pisarza życie jego, tak zdałoby się znane i wyświetlone w szczegółach bez reszty, staje znow przed nami jako zagadka, która zawiera wiele jeszcze niewyjaśnionych tajemnic. A w związku z tym również i dzieło jego pisarskie kryje w sobie zapewne niejedną tajemnicę, który dopiero na tle nowej, poszerzonej wiedzy o jego życiu, będzie można odsłonić i wyjaśnić. Czy ostatecznie? Nie ludźmy się. Nigdy nie można wszystkiego powiedzieć ani o życiu, ani dziele ludzkim. Świadczy to tylko, jak bardzo każde najbardziej nawet z pozoru proste zjawisko ludzkie jest złożone i skomplikowane.

Ze wstępu Pauszer-Klonowskiej do tych nowo odkrytych listów Prusa, które zostały wydane przed kilkoma dniami przez Państwowy Instytut Wydawniczy, zdaje się wynikać, że wszystko odbyło się idealnie i wprost sielankowo. Ale w bardziej krytycznym czytelniku tego wstępu i zwłaszcza tych listów budzą się duże i uzasadnione wątpliwości. Wprawdzie Stefan Żeromski, który znał osobiście dość dobrze żonę Prusa, pisze o niej w swoich „Dziennikach”, że była „to dama nudnego autoramentu i ciężko nad podziw wychowanka” Aliny Sacewiczowej, to jednak nie

na tyle ciężko, aby swoim czysto kobiecym instynktem nie „dokombinowała się”, co musiało zaistnieć wpróż między jej mężem a żoną, skoro żona Prusa wiedziała, czym synem jest ów rzekomy Jan Bogusz? Nie, więcej tu jest tajemnic i wprost dramatycznych zagadek, niż to sugeruje beztroski wstęp Pauszer-Klonowskiej.

Syn Prusa dowiedział się od matki, gdy dorósł, kto jest jego ojcem, ale nie starał się o przywrócenie należnego sobie nazwiska. Dlaczego? Zagadka się wyjaśni, jeśli uprzytomnimy sobie, że żona Prusa, Oktawia, zmarła dopiero w roku 1937. Syn Prusa brał udział w Powstaniu Warszawskim i w pierwszych miesiącach roku 1945 zmarł w obozie w Hanowerze. Pozostały po nim żona i córka, które udostępniły publikację tych nieznanych dotąd listów Prusa.

Któż by się spodziewał takiego dramatu pod koniec życia Prusa, który pisał, myślał o przyszłych ewentualnych obchodach ku swojej celi: „Proszę was, o współobywateli: mniej poematów, a więcej poleśnic, mniej łez, a więcej przestarzałego ekstraktu winnej jagody —

Od potoków wymowy strumyczek węgryna Wymowniejszy i zdrowszy. Wina, więcej wina! Jak dla archeologa tak i dla poety Najmilsza pleśń z butelki — wierzcie mi, facetki!”

Jerozolimskie Spotkania

Gdy na początku 1941 roku moje stopy dotknęły ziemi jerozolimskiej, miałem już w kościach półtoraroczną tulaczkę poprzez wolne jeszcze tereny Europy południowo-wschodniej. Na zaproszenie delegata rządu polskiego, p. Lubaczewskiego, zakotwiczyłem na dobre w Jerozolimie, gdzie objąłem funkcję sekretarza komitetu do spraw uchodźstwa oraz stanowisko kierownika kulturalno-oświatowego, z ramienia Delegatury polskiej.

Dysponowałem tam obszerną świetlicą w wielkim hallu stylowego budynku arabskiego, w którym stacjonowała Delegatura. Organizowało się tam przeróżnych imprez, wieczory artystyczne, elekcje, pogadanki, spotkania dyskusyjne, wieczory autorskie itp. ścigały zawsze tłumy wdzięcznych słuchaczy.

Jeżeli, co zdarzało się nader często, oczekiwana była większa frekwencja, niż normalnie — wówczas rolę estrady i widowni przejmowały, w godzinach wolnych od wyświetlania swego programu, duże kina jerozolimskie, bądź też urządzaliśmy imprezę w rozległej sali College des Freres.

Jaka była ówczesna Jerozolima? Spróbuję scharakteryzować to miasto krótko i lapidarnie. Była to po prostu mozaika ras i narodowości. Blichtr, luksus i nędza proletariatu. Folklor arabski i europejska gala. Wschodni zgiełk, brud i zaniechanie. Mekka pątników, ciągnących od lat do miejsc kultu chrześcijańskiego. Królestwo bazarów o scenarii jak z baśni z Tysiąca i Jednej Nocy. Starozakonne Jeruzalem z legend, otoczone pradawnym murem i nową Jerozolimą, ukształtowaną na modłę współczesną, z ruchliwymi arteriami komunikacyjnymi, reklamami i bogatymi wystawami. Po przez te ulice czapały majestatycznie obfite wielbłądy. Komfortowe hotele i zaduch dzielnic arabskiej

biedoty. Labirynt wąskich uliczek z chmarami dzieciarni, żebrzącej natrętnie o „bakczisz”.

Do tego międzynarodowego skupiska, gdzie człowiek niemal co krok ocierał się o ortodoksyjny Wschód i blyskotliwy Zachód, zawitał w 1943 roku Władysław Broniewski, przygnany zawieruchą wojenną.



Jak wiadomo, wybuch wojny zastał poetę we Lwowie. Przebywał następnie kilka lat w Związku Radzieckim. Gdy 16 sierpnia 1942 roku na posiedzeniu Rady Narodowej w Londynie, gen. Sikorski wygłosił pamiętne oświadczenie:

„Całość polskich sił zbrojnych uformowanych w Związku Radzieckim ewakuuje się na Środkowy Wschód... i gdy następnie uzyskał zgodę rządu radzieckiego na ewakuację armii gen. Andersa — do tego mała chwalebna exodus, związany rozkazem, wśród z masami żołnierskimi, przysposabiać się zaczął kapitan rezerwy Broniewski, znajdujący się wówczas w Kuibyszewie.

Wzdłuż Morza Kaspijskiego, przez Republikę Azerbajdżańską, Iran oraz Irak (gdzie nabrał się dokuczliwej i wyniszczającej organizm malarii) dotarł wreszcie Broniewski do Palestyny. Miałem wówczas oka-

zję zetknąć się z nim po raz pierwszy oko w oko. Wyrywany z kręgu twórczej pracy w kraju, Broniewski rozpoczął w Palestynie ożywioną działalność literacką i społeczną. Mimo nekującej go malarii wyglądał dobrze. Imponował postawą cielesną i duchową.

W Jerozolimie ukazały się dwa tomiki jego poezji, „Ba-

Wbrew pozorom, mimo rozgłosu jakim się cieszył i szacunku okazywanego mu przez przymusowych emigrantów, życie nie gładko i tu po głowie. Broniewski popadał w konflikty z dowództwem wojskowym, w którym po większej części królowała nadal mentalność przedwrześniowa, natomiast antylewicowe, reakcyjne. W następstwie tego poeta przeszedł do tak zwanej II grupy oficerów, jako niezdolny do aktywnej służby frontowej a przede wszystkim jako „nieprawomyślny”, podejrzany politycznie, o wybitnie lewicowej orientacji.

W Jerozolimie, Tel-Awivie, Gazie i innych miejscowościach, dał niezliczone ilości wieczorów autorskich. Rychno stał się ulubionym publiczności emigracyjnej, urzędowej siłą jego talentu, walącej tłumnie na każdy jego występ. Kiedy kończył mówić — wybuchła zazwyczaj owacja, głośnie, jak przygotowanie artylerystyczne. Nawet jego przeciwnicy polityczni i ideowi przychodzili gremialnie na te niezapomniane koncerty słowa.

Placówka naukowa — British Council — wydłaziła w swoim czasie pewne fundusze na dokształcanie Polaków w języku angielskim. Z biegiem czasu skrupulatnym Anglikom przyszła ochota sprawdzić postępy, jakie wykazują ich podopieczni w opanowywaniu tego języka. W związku z tym wybrałem trzy angielskie jednoaktówki oraz co zdolniejszych słuchaczy. Wręczyłem im role i po kilku tygodniach nauki i prób, odbyło się w College des Freres przedstawienie. Wśród widzów znajdowali się przedstawiciele British Council i sympatyzujący z Polakami delegat Wysockiego Komisarza do spraw mandatu nad Palestyną. Były również osobistości spośród władz polskich, no i Broniewski. Zdawało mi się po spektaklu, że aktorzy polscy dość dobrze wywią-

zali się z niełatwego zadania. Nieco odmiennie wszakże poglądy reprezentowali jednak delegaci British Council oraz Broniewski. Zapytany przeze mnie o swe bezpośrednie wrażenia ze spektaklu, odparł:

„Nigdy nie przypuszczałem, że język angielski w interpretacji tych aktorów okaże się tak podobny do polskiego. Szczególnie akcent i wymowa”.

Ilekroć Broniewski przyjeżdżał do Jerozolimy, nocował tradycyjnie w Domu Polskim, istniejącym od niepamiętnych czasów, jako pied a terre dla pielgrzymów polskich.

W okresie, kiedy armia polska przebywała na Środkowym Wschodzie, Dom Polski przeżywał okres wyjątkowej prosperity. Sute ofiary, płynące przeważnie z oficerskich i żołnierskich kieszeni, pozwalały na jego dalszą rozbudowę i odpowiednio zagospodarowanie. Jednym słowem, siostra Inocenta — przełożona siostra Elżbietanki gospodyni Domu, nie miała w owym czasie powodu do niezadowolenia. Krążyła anegdota, że gdy po raz pierwszy przedłożyła Broniewskiemu listę składek na Dom — ten, wpisując sumę ofiary mrugnął:

— Właściwie siostra nie powinna nazywać się Inocenta, lecz Ino-plastra!

A kiedy po raz drugi ta sama przełożona podsunęła mu listę, prosząc o datkę, Broniewski, wpisawszy kilka funtów, powiedział:

— Od dzisiaj siostra zaawansowała u mnie na Ino-funtę!

Broniewski lubił Jerozolimę. Położona dość wysoko, o umiarkowanym klimacie, chłodzona przez wiatry, dzięki którym nie było tutaj tak wielkiego żaru i spiekoty, jak gdzie indziej — odpowiadała zdaje się jego organizmowi, nadwzruszonemu przez nabytą na irackiej pustyni malarię. Chętnie robił też wypadki nad historyczne Morze Martwe, położone o 40 km od Jerozolimy oraz do Nazaretu. Stacjonował tam wówczas zespół pomocniczy służby sanitarniej, tak zwane potocznie „Pestki”, złożony wyłącznie z kobiet, od najniższej do najwyższej szarży. Broniewski tam miał wieczory autorskie, przyjmował i żegnany przez panie, jak wszędzie, owacyjnie.

KAZIMIERZ LEWKOWSKI

POLONIŚCI W KRAKOWIE

Dobrze się złożyło, że X jubileuszowy Zjazd Młodych Polonistów odbył się w Krakowie, wśród tradycyjnych murów dzielnicy akademickiej, gdzie stoja obok siebie gmachy Collegium Maius i Collegium Novum. Nadało to zjazdowi dostojności i powagi. Odrestaurowany gmach Collegium Maius (muzeum dziejów polskiego szkolnictwa) będzie opowiadał o świetnej przeszłości Uniwersytetu Jagiellońskiego, kiedy to Kallimach i Celtis przybyli z dalekich Włoch, aby słuchać wykładów Wojciecha z Brudzewa.

Nie wśród XV-wiecznych murów Collegium Maius toczyły się obrady X Zjazdu Kół Naukowych Młodych Polonistów. Powitała nas kilka wieków młodsza aula Collegium Novum, portretami matejkowskimi i atmosferą tradycyjnego kultu dla nauki.

Zjazd otwierają Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz kuratorowie Kół Polonistów UJ, i Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie. Kuratorem Kola przy Uniwersytecie Jagiellońskim jest prof. Kazimierz Wyka, który ze swadą znaną z jego wystąpień publicystycznych na łamach tygodników literackich, składa zjazdowi życzenia owocnych obrad.

Dni zjazdu (3—6 maja 1962) są zaplanowane dokładnie: trzy referaty, przed południem i dwa lub trzy po południu (w sumie osiemnaście referatów). Temat ogólny zjazdu to „Początki powieści polskiej oraz proza polska XX wieku”. Co prawda początki powieści reprezentują tylko dwa referaty z Wrocławia (M. Jakóbówna i A. Zamorska „Próba nowego odczytania POGANKI N. Zmichowskiej”) oraz z Łodzi (H. B. Tadeusiewicz „Dwie powieści o tematyce żydowskiej J. U. Niemcewicz”). Ale tematyka tych referatów ustaliła linię tematyczną całego zjazdu. Socjolog znalazłby tu szereg ciekawych problemów odzwierciedlających zainteresowania młodzieży polonistycznej. Bo ze wszelkim miarą godnym odnotowania jest fakt, że współczesna literatura entuzjazmuje tych, którzy mają w niedługiej przyszłości zaznajamiać z nią młodzież szkolną. A więc już nie bezkrytyczny entuzjazm tylko dla Romantyzmu. Dlatego może zainteresowanie wzbudziły referaty — M. Spruński „Powieść w kłamrach historii” („Czarne skrzydła” Kadena Bandrowskiego), M. Podgórski „Główne problemy analizy MEDALIONÓW Z. Nalkowskiej”, M. Książek „Funkcje konstrukcji stylistycznych w narracji powieściowej na przykładzie GRANICY Z. Nalkowskiej” i napisana w Łodzi Al. Palusińskiej „Z zagadnień tzw. „manier obiektywnej” w prozie obywatela Tadeusza Borowskiego”.

Praca Al. Palusińskiej (nagroda Rektora WSP) została oceniona bardzo wysoko; zwłaszcza w rozmowach kulturalnych podkreślano jej

szepce przerażony poeta, bezwolnie, automatycznie. „Automaty są niewinne”. O to mamy uzasadnienie etyczne słabości. Automat nie jest mordercą. „Czas to doskonały morderca”, spieszmy z odpowiedzią drobnemu urzędnikowi. Oddycha z ulgą. Oczywiście Abstrakcja jest mordercą. Jak to dobrze. Wszyscy czują się różnie.

Stąd nienawiść drobnego urzędnika do Abstrakcji: jest z tamtej strony pojęcie etyczne, nie można zwalić na nią odpowiedzialności. Jest znakiem, czystą Formą. O niczym nie chce orzekać. Ale czy to jej się udaje? Nie można jej wciągnąć, uwikłać, zaplątać. Nie jest nawet automatem. Kompleks drobnego urzędnika.

„Pełka nie, która wiąże obojętność, ale tylko pozornie. Różewicz nie wraca do elipsy. „Nie możesz zamknąć oczu co za głupie żarty”.

W dalszym ciągu technika pozornego elementarza, Romantyczność, adaptacja niektórych innowacji anglosaskich i poetów rocznika 1956, zrzecze rewindykacji mistrza, interpolicje obcojęzyczne. Nie można jeszcze wyeliminować Eliota.

Wielki poeta polski wkroczył powoli w plekto nowych tożsamości drobnego urzędnika, próbując zachować irracjonalny dystans. Najtrudniejsze, na co może się zdobyć myśliciel XX wieku.

Tadeusz Różewicz: Głos Anonima. Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1961 r.

JERZY WALEŃCZYK

Nowe tożsamości czyli piękne piekło drobnego urzędnika

Motto:

Kowalczyk jestem
Po wojnie zostałem w Napoli
General mówi do mnie
(To było przed wojną
w Łodzi)

Sierżancie napijcie się z nami
Jestem na służbie panie
generale.

T. Różewicz
(Et in Arcadia Ego)

Ileż to czasu przetoczyło się nad nami, od kiedy napisano o Różewiczu, że wypracował język, którym można mówić o sprawach współczesnego człowieka. Ze zrozumiałą ciekawością bierzemy do ręki nowego Różewicza w celofanie, z bardzo interesującym poematem reportażowym z podróży do Włoch. Przypominamy źródła pojęć: liryka jest reportażem wzruszenia.

Różewicz pozostał czysty, jednolity formalnie, nieczuły na syrenie śpiewy pięknych i niebezpiecznych asocjacji. Między Scyllą treści, a Cha-

rybdą formy przepływa powoli anektując co nieco z pięknych głosów, którymi śmiertelnie porażeni są prawie wszyscy młodzi poeci polscy. W tej chwili, tzn., anno domini 1962 Różewicz jest prawie jedynym poetą polskim, który nie boi się jednoznaczności. Cena jednak, którą płaci za trwanie na kruszających się pozycjach moralisty, jest ogromna.

To cena, przede wszystkim, druzgocącej epiki.

Podziw i szacunek z jakim odnoszę się do niego, mąca mi moje odmienne ideały piękna w poezji.

Jest coś niesłychanie wzruszającego w próbie wyjścia poety z siebie, w próbie przecięcia pepowiny starej wyobraźni. To wysiłek myśliciele, to rezultat pracy intelektu wielu lat. Metamorfiza Różewicza prowadzi od zmiany spojrzenia, od odwrócenia wzroku od przeszłości, od swego wnętrza do afirmacji tego wszystkiego, co atakuje zmysły poety.



Tadeusz Różewicz

Nazywa siebie „wielookim” i „wielouchym”. Lyka głosy i barwy tak jak się lyka lekarstwo.

Potwory wylaniające się z przeszłości są zdematerializowane. Różewicz jak wielki Braque konserwuje wyobraźnię dziecka. Ale nie dewaluje pojęć, nie intronizuje nowych. To przyjaciel człowieka, który jest poważny, w biurze pojawia się skromnie i schludnie i przeprasza szefa za jakikolwiek chaos w swoich papierach. Ależ szefie, świat wyszedł z chaosu!”

Jego bohater liryczny, do którego Różewicz miał zawsze dystans, nie będzie ogład swoim grobu, eksplozję śmiechem nagłej szansy. Wróci do biura, będzie opowiadał o włoskiej podróży i nigdy nie będzie nieszczęśliwy do końca, ponieważ widział Neapol.

Zaufał do końca maksymie, nie rewidując jej, wziął ją na serio, nie wstydził się płakać coram publico. Widzisz, książko, jestem szlachetny.

Lecz drobnym urzędnikiem jest istotą myślącą. Dostrzega ewolucję w sztuce współczesnej, natrętną krzykliwość barw, parodiuje ją w porywach sporadycznej ironii. Determinanty historyczne, socjologiczne, geograficzne każą mu kojarzyć kotlet tatarski z Tatarami, Tatarów z przedmurzem, przedmurze z rycerstwem. Nie jest Don Kichotem. W porwie gniewu cisną mocne słowo. Ale synonimicznie. I to się nazywa: szaleń. No cóż. Nawet Daniel Nahorowski zmątychychstaje wykropkowany.

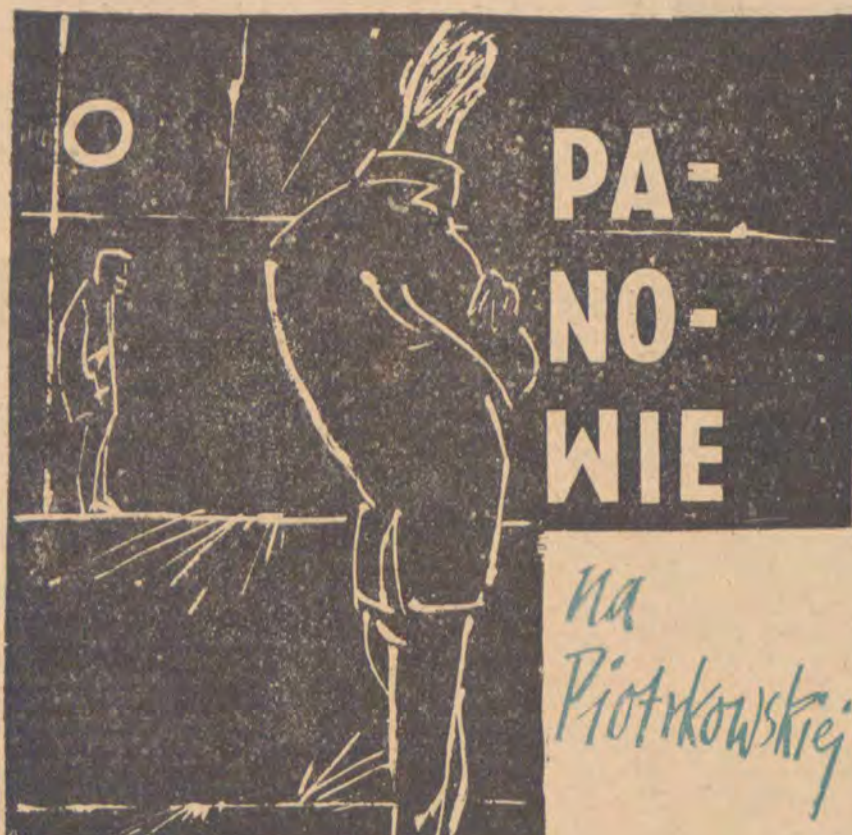
Drobnym urzędnikiem marzył zawsze o założeniu sklepiu „w dobrym punkcie”. W Rzymie konsumując w restauracji św. Kaliksta, zauważył, że jest położona w dobrym punkcie.

Nostalgia hoteliku trzeciej kategorii, wonie niezbyt wymowne, ale to szczegóły. W Torcello piekło jest piękne. Tu drobnym urzędnikiem wycofuje się.

A w ogóle przeprasza, że żyje, przeprasza za chaos. Lubi pokpiwać z ambony, bo to jak słyszał, niemożliwe. Ale niestety szuka uzasadnień rzędu ewangelicznego. Akceptuje to, co jest silniejsze od niego, bolesne, spazmatyczne, ale skwapliwie bierze. Zaprasza jak obywatel Biederman podpalaczy do stołu, na kawkę. Może dadzą się przebłagać. „Nikt tutaj przecież nie będzie zabijał”.

Dalszy ciąg na str. 8

odgłosy str. 7



„Na deptaku to każdy wie, że jak Mrówka, Złotowa czy Bejo idzie to trzeba im z drogi ustąpić, bo inaczej to jest koniec, jak nie od razu, to za dwa tygodnie...”

Władcy Piotrkowskiej, panowie na deptaku, siedemnastoletni, dwudziestoletni, modnie ostrzyżeni, stoją na ulicach, obsiadają kawiarniane stoliki, mówią krótkimi, urywaniymi zdaniami, zawieszają głos, nie kończąc rozpoczętej myśli. Mają własny słownik i własne poglądy na życie. Dziewczynek nazywają „panną” (ładna panna, szybka panna, panna Beja). Tanie wino — si-kaczem, albo „patykem pi-sane” (podobno dlatego, że napis na naklejkę przypo-mina pismo drzewem...). Ten kto się nie boi, „nie pęka”. Twarz ludzka to „glaca”, o-siedle na Bystrzyckiej — „Bystra”. Awantury i bójki w ich języku to „wojna”. Można byłoby zresztą takich przykładów przytoczyć wię-ce. Można zapewne ułożyć cały słownik wyrażen i o-kreśleń, jakich używają, i nazwać go łódzkim slan-giem. Językoznawcze bada-nia nas nie interesują.

Miejsce zbiórki — Młodzieżowy Dom Kultury. Czas — niedziela, godzina jedenasta. Rozpoczyna się wtedy „Spotkanie z piosen-ką” i za jedyne pięć złotych można spotkać wszystkich kumpli, porozrabiać, umówić się na popołudnie. Można u-zupełnić niektóre części gar-deroiby. Mówią, że czapki i berety najlepiej „kupować” w MDK. Po „Spotkaniu” ro-bi się „Dwie rundki” albo jak mówią inni „dwie dłu-gości”, robi się „zrzutkę na patyka” i załatwia się „pan-ny” na wieczór.

Na zabawy chodzą zwykle do ŁDK, MDK albo na „By-strą”. Zabawy odbywają się przy winie albo wódce (za-leży to oczywiście, od ilości posiadanych pieniędzy). W ŁDK zabawy są: „w dechę”. Opiszmy najbardziej ulubio-ną. Chłopcy okupują róg po lewej stronie orkiestry. Na dany znak jeden z nich pro-si „pannę” do tańca. Tań-cząc ustawia ją tak, aby była tyłem do „kumpli”. Kumple pannę popychają, albo ją silnie uderzają. Ta przewraca się i wpada mię-dzy specjalnie ustawione krzesła. „Nie ma wtedy ru-

chu”. Dziewczyna nie może wstać, a chłopcy „robią ta-kie różne rzeczy... no po prostu ją podmacują”. Chlop-cy są podpi-ci i ordynarni. Dziewczyna jest skompro-mitowana. Taka historia to „hańba dla panny”. Wszyscy się z niej śmieją. „Jest taka jedna panna, która jest dumna z tego, że nią tak pomiatają jak ścierką”. — powiedział jeden z nich.

Prym na zabawach wiodą Mrówka, Złotowa, Bejo, Czarny... To „szychy” środ-mieścia. Wiadomo, zadzie-rać z nimi nie warto. „Na zabawie, jak któremuś z nich spodoba się jakaś pan-na, to chłopak, który się z nią bawił już po prostu umarł, musi uciekać albo bawić się z inną, bo inaczej dostanie w kość”. „Rzadko jest taka zabawa na której jest spokój”. Bójki są na porządku dziennym. Chłopcy biją się całymi grupami, czasem na sali (zdemolowa-no już dwa razy salę MDK i ŁDK, kilka razy świetlice w domach studenckich na Bystrzyckiej), czasem po wyjściu. Po wyjściu tworzą szpaler. Każdy uczestnik za-bawy musi przez niego przejść, a wychodzi się po-jedynczo. „Wtedy, żadna banda nie pomoże”. Ci, któ-ry się narazili „dostają bańki”.

Bójki band są „krwawe” i długie. Przerwane przyjaz-dem milicji, kończą się na następnej zabawie. Czasem chłopcy biją się bez specjałnego powodu, ot dlatego, że ktoś nie tak spojrział, cza-siem powody są poważniej-sze. Ktoś synął, kogoś trze-ba „przyuczyć”. Banda „Zło-tego Rogu” porachunki przy-gotowuje. Najpierw na za-bawę przyjeżdża „Warszawa” kilku chłopców. Przeprowa-dzają rekonesans i ustalają plan akcji. Potem reszta przyjeżdża tramwajem. I wtedy dopiero zaczyna się... Chłopcy mają własny oby-czaj. Honorowe bójki, za-czynają się od formuły: „Masz coś do mnie, to chodź do bramy, damy sobie po razie... i koniec...”. Gdy prze-ciwnik jest pokonany, zwy-ciejąca zwraca się do niego. „No co koleś, masz dość, czy chcesz jeszcze, no mów... wojna czy pokój?...”. Tak biją się gentlemani. Ale gentlemanów jest wśród nich niewiele. I dlatego gen-tlemański kodeks rzadko o-

bowiązuje. Najczęściej ofia-rę napada się z tyłu i sil-nym uderzeniem powala się na ziemię. Leżący uważany jest za pokonanego. Powie-dziano nam: „Dobrze jest leżeć nieruchomo. Wtedy dają spokój”. Tak postępują gentlemani. Nie gentlemani „flekują” przeciwnika (fle-kują to znaczy kopią po twarzy). To sposób na za-latwienie „krwawych” po-rachunków.

Powiedziano nam, że ban-da „Złotego Rogu” jest naj-silniejszą spośród zorganizo-wanych. Podobno poznać ich można po jednokowych br-zgowych kurtkach skórz-a-nych. Są starsi. Mają mo-tory i jedną „Warszawę”. Wstawili się pokonaniem bandy „Poprawczaka” i zde-molowaniem kilku sal za-bawowych. Nie są młodocia-nymi. Ich przestępstwa nie podlegają sądowi dla nie-latnich. Wszyscy mają po-wyższe siedemnasto lat. Nie-ktorzy z nich pracują. Mają pieniądze. Nie zawsze są to pieniądze uczciwie zarobione.

Chłopcy handlują walutą, kradzionymi rzeczami, prze-prowadzają transakcje, po-średniczą — „robią interesy”. Najczęściej praktyko-wanym przez wyrostków sposobem zdobywania pie-niędzy jest okradanie pija-nych. Dobrze podpiętego przechodnia zaprasza się na wódkę, wino, albo po pro-sku na piwo. Podczas picia, przy wznośzeniu toastów czule się go ścisła, jedno-cześnie zabiera portfel, zegá-rek, lub pieniądze. „Nie jest to kradzież” — powiedzieli nam. „Niech nie pije!”.

Bandy wprowadziły terror wśród siedemnastolatków. Chłopcy wiedzą, że z tymi z bandy „nie trzeba”. Zaw-sze ktoś „pomści” pobitego. Członkowie band są niety-kalni. Do nich należy ulica. Ci spoza mówią: „nie ma sensu szukać guza”. Ustępu-ją. Wyrostki są rozzuchwa-lone. „Jak jakiś stary szumi, mów, że wezwie milicję, krzyczy, to trzeba mu do-lupać, raz da się w szczę-kę, to mu nie zaszkodzi. Ro-zumu nabierze”. „Bywa, że i milicjantowi trzeba dać, trzeba się

bronić wszystkim! sposobami, inaczej większość by siedziała”.

Ci najznakomitsi są sze-roko znani, a ich imiona rozsławione wśród wyrost-ków. Mówią o nich z na-bożną czcią. Boją się ich tak, że kilku z nich nie chciało o nich w ogóle z nami rozmawiać. Bali się wypowiedzieć ich imiona. „Po-co, a jak się wyda, kto mó-wił”.

„Złotowa”, „Mrówka”, „Bejo”, „Czarny” — to właśnie te znakomitości. Są też inni „Amerykanin”, „Puk”, „Adam”. — Niektó-ry z nich są już w więzie-niu. A inni...

Inni nie mają wstępu do „Teinki”, są pod stałą ob-serwacją milicji. „Nie mogą za bardzo rozrabiać, bo by ich... rozumiecie”. „Teinka”, stałe miejsce ich zbiórek straciła teraz swoje znacze-nie. Może dlatego, że Mró-wa, ani Złotowa tam już nie bywają, a może i dlate-go, że milicja otoczyła ten lokal szczególną opieką. Po-szukali więc schronienia gdzieś indziej. Po „Spotka-niu z piosenką” wędrują do „Milusi”, do „Haremu” (tak nazywają kawiarnię w ho-telu Savoy). W Teince robi się pusto, choć i tak w nie-dzielne przedpołudnie spot-kaliśmy tam swiatek w któ-rym żyją „panowie na Pio-trkowskiej”. Spotkaliśmy go też w parku Poniatowskie-go, gdzie wiosną zaczyna znów kwitnąć bujne życie „siedemnastoletnich”. W le-cie wyjadą do Lagiewnik i do parku na Zdrowiu. Be-dziecie ich tam mogli spot-kać. W kolorowych swe-trach, ostrzyżeni krótko chłopcy i ich modnie ubra-ne towarzyszyki.

Mówili nam. „Nie daj Bo-że, jak na jednej zabawie zjeżdż się kilka band. Wte-dy wojna murowana. Wszy-stko jedno czym, byle się bić! Gdyby było więcej za-baw, to by było mniej bójek. A tak to wiadomo, można tańczyć tylko w MDK, ŁDK i na „Bystrej”. A każdy chce potańczyć. Tam wcho-dzi się tylko za okazaniem legitymacji szkolnej.

Chłopcy jednak zawsze sobie jakoś poradzą. Ich po-myślność jest niewyczerpa-na. „A wejść na zabawę to sprawa prosta. Wystarczy by który z kumpli miał legity-mację. To się zrobi”. Jed-na legitymacja służy całej gromadzie. Większość chlop-ców to uczniowie. I to uc-zniowie najlepszych łódzkich szkół, synowie ludzi zajmu-jących często poważne i od-powiedzialne stanowiska.

Chłopcy używają w czasie bójek odpowiedniego sprzę-tu. Mają niestety, pierścienie i noże. Kastetów dostarcza-ją uczniowie szkół zawodo-wych. Można je od nich do-stać, lub kupić.

Posiadanie kastetu jest ka-rane. Używają więc częściej dużych pierścieni. Robią je z jakiegokolwiek metalu. Ka-żdy może taki pierścień mieć. Taki pierścień wolno nosić. Więcej po prostu wkłada się ich kilka. Uderzenie tak u-zbrojoną ręką ma taki sam skutek jak uderzenie ręką uzbrojoną w kastet. W szko-łach zawodowych kwitnie produkcja uboczna. Wyrabia się „uzbrojenie”, oczywiście tak, by nauczyć nie wi-dział, bo inaczej draka”. Kil-ka razy chłopcy urządzili

takie bójki, po których ka-retki Pogotowia wywoziły rannych. „W Lagiewnikach kiedyś trzy bandy się biły, czym popadło, butelkami, deskami, no czterech od-wieźli do szpitala, no ale na taką ilość walczących to nie jest wcale dużo...” Cza-sem dobywają noży. „W oko-licach Julianowa kilka mie-sięcy temu zadźgali jakiegoś faceta, ale ich złapali i już siedzą...”

Mówią, że robią to wszyst-ko, bo im się nudzi. Bo nie mają nic lepszego do robo-ty. Nudzi im się w szkole, nudzą się w kawiarni, na zabawie, w domu.

Tylko na ulicy coś się dzieje. Kogoś można zbić, przed kimś się ucieka. Tylko na ulicy jest „życie”. Tu można być mężczyzną. Mo-żna imponować siłą, cwa-niactwem. Kto nie „pęka”, kto dobrze bije, kto jest „cwany gość” ten jest dobrym kumplem. Kto po-stawi „patykem”, poderwie „pannę” — ten się liczy.

Opinia kumpli wiele zna-czy. Na ulicy trzeba być twardym. Nie wolno się la-mać. Kto się tu łamie, to „mieczak”. Tego trzeba wy-prostować, dać mu szkołę.

Niektórzy z nich mają dość, nie chcą więcej „rwać” dziewczyn, nie chcą się bić. Nie zawsze mogą przestać zadawać się z kumplami. Wtedy odbywają się swoi-ste dramaty. Jak zerwać, jak przestać być „fajnym facetem, dobrym kumplem”? Ci, którzy za dużo wiedzą i za dużo wiedzieli, ci tak-że mają nieczyste karty w bandzie. „Panowie na Pio-trkowskiej” muszą być pewni swoich podkomendnych, a pewni są ich coraz mniej. Upadają obyczaje. Kumple śpią, nie zawsze chcą ro-bić „zrzutki”. Niektórzy z nich mówią, bandy to hi-storie przebrzmiałe, wszyscy prawie siedzą...”

Jednak czas panowania „panów na Piotrkowskiej” powoli mija. Milicja opano-wała sytuację. Palka, ko-legia orzekające o więzieniu zrobiły swoje. Strach padł na „siedemnastolatków”. Za chuligańskie wybryki kara-ni są surowo, „a nie każdy chce siedzieć, prawda?”. Więc ostatnio biją się mniej „krwawo”, uciekają, gdy zo-baczą milicję, „za dużo nie można, tylko tak, by się człowiekowi nie nudziło, no bo co się ma robić... w kró-tkich spodenkach z harce-rzami latać, w podcho-dy, ogniska się bawić, albo w Zetemesie mówić sobie to-warzyszu”.

Problem nie ogranicza się jednak do bandyckich wy-czynów wyrostków. Dla ban-dytów przeznaczona jest palka i więzienie. Milicjanie pogotowie i sąd. Z bandy-tami milicja załatwia się szybko i sprawnie. Tak sprawnie, że przestępczość wśród nieletnich w Łodzi, jak powiedziała nam pani sędzia Zofia Bartnicka w ostatnich miesiącach wyra-znie zmalała. Ale proble-mem nie rozwiązany pozostali ci wszyscy, którzy nie jeszcze nie ukradli, nikogo nie pobili tak, by interwe-niowała milicja, nie byli jeszcze w więzieniu. Ci którzy walczą się po dep-taku i nie mają co robić „bo na świecie jest nudno”. Jeszcze nie zorganizowani w bandy, ale stanowiący po-tencjalne zaplecze młodych

przestępców. Ci, którzy czyni chłopców aprobuja, którzy im sprzyjają. Socjologia tu nie nie wyjaśnia. Chłopcy pochodzą z różnych środo-wisk. Nie pomoże tu psy-cholog ani lekarz. Wszyscy są w normie. Chłopcy skro-nieni według żurnalowych wzorów, których ideałem jest łatwe i wygodne życie są wszyscy do siebie po-dobni. Tak podobni, że ta ich identyczność w ubiorze i sposobie myślenia — prze-raża nasuwając zawsze jed-no i to samo pytanie: Co dalej? Podawanie recept na temat, jak zaradzić nudzie siedemnastoletnich, co zro-bić, by młodzież nie pila wódki, nie siedziała w „Teince”, nie leży w możli-wościach reporterów. Za-pisujemy tylko, że niepokoją-co przedstawia się przy-szłość naszych bohaterów. I ta mogłaby być tematem oddzielnych rozważań.

informacje i zacheptki

34 łódzkich artystów re-prezentujących trzy tech-niki — malarstwo, grafikę i rzeźbę — eksponuje swe prace tematycznie związa-ne z XX rocznicą PPR w sali plottkowskiej MOK (Bieruta 12). Dobrze się sta-ło, że pozycja ta zawęzo-wała na prowincję. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby od-wiedziła wszystkie większe ośrodki naszego wojewódz-twa.

Ostatnia „Polityka” po-daje w zakończeniu arty-kulu J. Dostajnego tabel-ke ilustrującą dynamikę wzrostu ludności w więk-szych miastach Polski. Łódź znajduje się tam na szesnastym, czyli ostatnim miejscu.

Z okazji jubileuszu Tea-tru im. S. Jaracza szesnastu aktorów i pracowników tej sceny otrzymało wysokie odznaczenia państwowe.

W jednej z łódzkich ga-zet ogłasza się pewna Za-sadnicza Szkoła Zawodowa. W ogłoszeniu czytamy: „Absolwenci Szkoły po od-byciu rocznego stażu pra-cy otrzymują świadectwo wykwalifikowanego sprze-dawcy mięsa — rebacza”. Tak więc, aby zostać re-baczem, nie trzeba jechać na Śląsk.

Łódź przybyło w ostat-nich dniach 85 magistrów farmacji.

Reporter „Expressu” ma za zle bufetowej restaura-cji „Sion”. że „z zapalem napędzania kieliszki”. Trochę nas to oburzało, bo ostatecznie bary w resta-uracjach — jak to powszech-nie wiadomo — nie słu-żą przecież do gry w pchelki. Bufetowa wykonywała swa pracę — a że z zapalem? Widać ma taki tempera-ment.

W dniach 18 i 20 maja na Opolszczyźnie obchodzo-no Dni Łodzi. W uroczy-ściach brała między in-nyimi udział 60-osobowa or-kiestra Łódzkiego Liceum Muzycznego.

Redaktor niniejszej rubry-ki ogłasza stały kon-kurs na „paradoks tygod-nia”. Paradoksem może być reklama, sformulowa-nie w prasie, bezsensowne zarządzenie itp. — wszyst-ko co śmieszne i w nie-godzie ze zdrowym roz-sądkiem. Adres: „Informacje i zacheptki”. Przewidziane są nagrody książkowe.

J. W.

POLONISCI w KRAKOWIE

Dalszy ciąg ze str. 7
konsekwentną konstrukcję
oraz rzeczową obronę refe-ratu.

str. 8 **odgłosy**

Z zainteresowaniem uczes-tnicy zjazdu czekali też na zapowiedziany referat „Z pro-blematyki młodej prozy pol-skiej lat 1956/1959”. Była to jedyna praca, która pokusi-ła się o nakreślenie drogi rozwojowej współczesnej li-teratury.

Oceniając intencje pracy „Życie Literackie” przekaza-ło przez siebie ufundowaną

nagrodę autorowi tego inte-resującego referatu.

Podsumowania wyników zjazdu dokonał prof. K. Wy-ka, podkreślając wysoce am-bitne podejście do tematów, ciekawą niejednokrotnie dys-kusję, często obfitującą w polemiczne spiegi.

Mimo, że nie nowego za-den z referatów nie wniósł do

zagadnienia, bo nawet nie li-czono na to — kontynuował prof. K. Wyka — były one dowodem głęboko przemy-słanych sądów, przekonywa-jących o zainteresowaniach młodzieży polonistycznej.

Po zakończeniu obrad prze-wodnicząc Kola Naukowego Polonistów UJ zwołał ze-branie Centralnego Aktywu Kół Polonistycznych (CAKP)

jako jego aktualny prezes (automatycznie ośrodek or-ganizujący zjazd przejmując przewodnictwo CAKP-u). Centralny Aktyw Kół Polo-nistycznych powierzył orga-nizację XI zjazdu w 1964 ro-ku ośrodkowi łódzkiemu, u-stalając jednocześnie temat przyszłego zjazdu: „Dramat od modernizmu do współ-czesności”.

Kraków zegnaliśmy póź-nym wieczorem. A właści-wie to miasto, zawsze go-

cinne, zęgało nas hejnałem z rzeszcie oświetlonej Wieży Mariackiej.

KAZIMIERZ LEWKOWSKI



The dominating factor in Cambridge is its world-known University, a centre of education and learning, closely connected with the life and thought of Great Britain. Newton, Byron, Darwin and many other scientists and writers were educated at Cambridge.

In Cambridge everything centers on the University and its Colleges, the eldest of which was founded in 1284. They are 27 in number.

There is a close connection between the University and colleges, though they are quite separate in theory and practice. A college is a place where you live no matter what profession you are trained for, so that students studying literature and those trained for physics may belong to one and the same college.

However the fact is that you are to be a member of college in order to be a member of the University.

A college is a group of buildings forming a square with green lawn in the centre. An old tradition does not allow the students to walk on the grass. This is the privilege of professors only.

There is another tradition which the students are to follow; after sunset they are not allowed to go out without wearing a black cap and a black cloak.

The University trains about 7,000 students in different specialities.

You study at the University for about 4 years, 3 terms a year. The long vacation lasts 3 months. You are trained by a tutor; each tutor has 10—12 students.

There are many libraries at Cambridge; some of them have rare collections of books.

Cambridge is one of the loveliest towns of England.

DER MUSIKFREUND

Mein Sohn, der 5 Jahre alt ist, sagte:

— Vati, die Mutti hat von dir ein Klavier zum Geburtstag bekommen. Ich habe nichts bekommen. Kauf mir ein Fahrrad.

— Wozu brauchst du ein Fahrrad? — fragte ich.

— Damit ich weit wegfahren kann, wenn sie Klavier spielt, — antwortete mein Sohn.



IN A BUS

There were no vacant seats in the bus, but as a good-looking woman entered, I tried to rise, but she at once forced me back into my seat. She said:

— Thank you, but please, don't do that. I can stand.

— But, madam, allow...

— Don't trouble yourself, — was the answer.

I tried to rise again saying:

— Madam, allow me to...

The woman again forced me back saying:

— I can not accept your seat. Thank you. I can stand.

Don't trouble yourself.

But I forced her aside and I said:

— Madam, I don't care whether you take my seat or not, but I wish to leave this bus!



DAS AUTOGRAMM

Ein Mann fuhr nach Norwegen. Er wollte das Autogramm von Knut Hamsun haben. Aber der norwegische Dichter wollte niemanden sehen. Hamsun sagte zum Diener:

— Sagen Sie, dass ich nicht zu Hause bin.

Der Diener wiederholte die Worte seines Herrn:

— Herr Hamsun ist nicht zu Hause.



Knut Hamsun

Der Besucher sagte:

— Ich danke Ihnen, aber ich habe viel Zeit und ich werde hier warten.

Der Besucher setzte sich in einen Lehnstuhl im Vorzimmer und wartete. Er las Zeitungen, rauchte Zigaretten, spazierte auf und ab, rauchte wieder, las wieder...

— Eine Tasse Kaffee? — fragte der Diener. — Sie warten schon fünf Stunden, und Herr Hamsun kommt nicht. Vielleicht kommt er erst morgen?

— Ich danke Ihnen. Ich habe ein Zimmer im nächsten Haus gemietet. Dort werde ich am Fenster sitzen und warten bis Herr Hamsun kommt. Auf Wiedersehen!

I met John in the street outside the cinema. He said to me:

— Is it a good film?

— Well, it is a short story about salt.

— Tell me about the film, Jimmy, — said my friend. I began to tell:

— Salt is one of the most common minerals used in everyday life. Primitive people did not need salt. When people passed on to the agricultural stage salt became a necessity. Bread and vegetables were not only improved in taste, but the salt was required for the body's well-being. Primitive people believed that good growing of vegetables depended on the gods' good will. So salt was offered to the gods together with bread and wine.

The fact that salt could preserve food made it the symbol of lasting quality. To offer salt to somebody was a sign of friendship.

Some of the great roads in ancient times were built to make the transportation of salt easier. One of the oldest roads in Italy was called VIA Salaria. It means THE SALT ROAD.

In Abyssinia and Tibet where salt was greatly needed, it was used as money.

Common salt consists of two elements — sodium and of chlorine. It is therefore called sodium chloride.

In Abyssinia there is a lake, 7 miles across. Half the bed of this lake is dry and consists of white sea salt.

— It was very interesting — said John and went to the cinema.

— Auf Wiedersehen! — sagte der Diener.

Knut Hamsun konnte jetzt sein Haus nicht verlassen. Eine ganze Woche musste er zu Hause sitzen, denn der Besucher stand am Fenster und wartete.

Der Dichter nahm ein Stück Papier und eine Feder und schrieb:

„Mein Herr, Sie warten schon eine Woche auf mich. Sie sind ein Schurke. Fahren Sie wieder nach Hause und lassen Sie mich in Ruhe. Und ein Autogramm bekommen Sie von mir nicht. Nie! Verstehen Sie mich? Das ist mein letztes Wort! Knut Hamsun.“

Der Besucher schrieb eine Antwort:

„Meister, ich danke Ihnen für den Brief und für Ihr Autogramm. Heute fahre ich nach Hause. Ihr Autogrammjäger.“

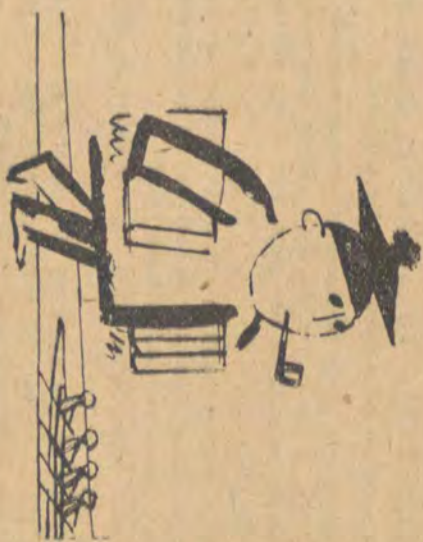


Hamsun, Knut, *4.8.1859, norw. Dichter; war Arbeiter, Straßenbahnsechthner, Redakteur (Roman Hunger), Jäger (Pan), Landstreicher, Segel der Erde; Mystiker; Viktoria; Das letzte Kapitel. Nobelpreis 1920.

Cambridge is situated at a distance of 70 miles from London. The greater part of the town lies on the left bank of the river Cam crossed by several bridges.

Cambridge is not a modern industrial city and looks much more like a country town.

It is very green presenting to a visitor beautiful gardens, lawns, trees, beautiful architecture and bridges.



ICH WAR DA

Eine populäre schwedische Sängerin war auf einer Konzertreise. Sie musste in einer kleinen Stadt übernachten. Der Bürgermeister kam zu der Sängerin und sagte:

— Geben Sie bitte ein Konzert in meiner Stadt.

— Sehr gern, — antwortete die Sängerin.

Aber es war schon spät. Nur wenige Zuhörer kamen.

Der Saal war fast leer. Trotzdem sang „die schwedische Nachtigall“ noch schöner als sonst.

Man wunderte sich sehr und fragte die Sängerin:

— Warum haben Sie so schön gesungen? Es war doch niemand da.

— Wieso? — fragte die Sängerin.

— Ich war da, — sagte sie ruhig.



Dalszy ciąg ze str. 9

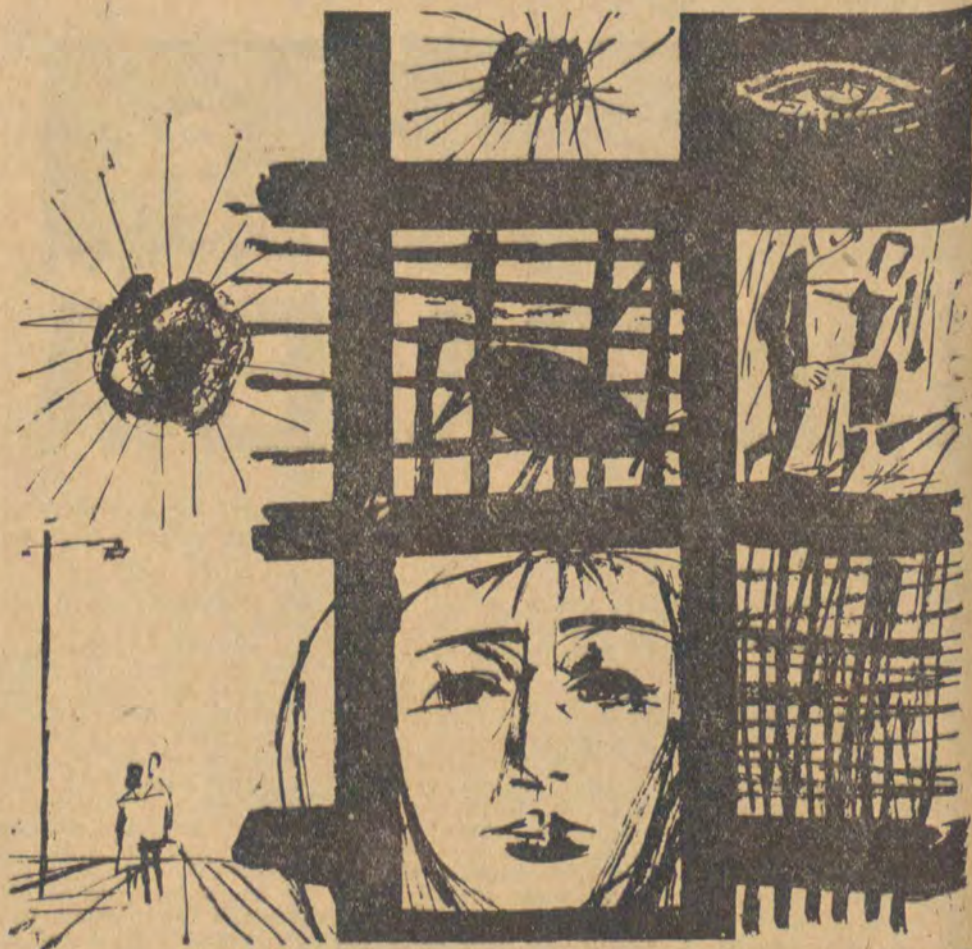
mi pogmatwał. Mariola odpowiedziała krótko: „Kradłam. Brałam udział, przechowywałam, sprzedawałam“. Gorzej zachowywała się Krycha. Ryczała po każdym pytanu. Zupelnie była złamana. Okropnie wyglądała z pół siwymi, pół czarnymi włosami.

Wnieśliśmy wszyscy odwołanie. Mój adwokat bardzo mnie bronil. „Z uwagi na młody wiek oskarżonej wydaje się zdaniem obrony celowe, aby proces nie ograniczył się do strony represyjnej, lecz poprzez poznanie oskarżonej między innymi drogą badania specjalistycznego wytyczył właściwy i celowy kierunek reedukacyjny“. Mam to zapisane. Proszę, niech pan zo-

baczy. Siedzę w celi i „reedukuję się“. Niech się pan nie trudzi dobrze wlem, co to zna czy. Myślę pan, że da się jeszcze co zrobić? Wątpię. No zobaczmy. Mariola mnie pociesza. Powiada, że jeszcze nie wszystko stracone. Nawet gdy by wyrok utrzymał. Cóż to znaczy te parę miesięcy! Czuję się lepiej po każdej rozmowie z Mariolą. Ona umie ze mną gadać. Szczer przystał paczkę Marioli, ale ona nie chciała przyjąć. Znała tu już Szczurę i śmieją się z niego. „Szczur — powiedziała Mariola — jest gorszy niż Długi i Boruta.“ Po wyjściu z więzienia Mariola wybada, czym się zajmuje Szczur. Z pewnością odgrywa taką rolę jak Długi, może ma nawet swoją pakę, tylko że robi to sprytniej. On jest okropnie chytry. Teraz dopiero to widzę. A może handluje walutą? Jak Boga kocham, nie uwierzy pan, ale właściwie to nie

wiem, gdzie Szczur pracował. O Tacie wszystko wiedziałymy, a o Szczurze nie. Czy to nie dziwne? Byłabym zapomniała: pytałam się Marioli o dolary Długiego. Powiedziała, że nie znalazła. Wierzę jej. U Narceza też nie znalazłem. Niesłusznie go podejrzewałam. Więc kto je zabrał? Dużo rozmawialiśmy z Mariolą. Wyznała, że kochała Borutę. I że jeszcze go kocha. Wie, że Boruta jest lekkoduchem, ale nie na to nie poradzi. „I o ma lo co, a nie porzuciła go brzytwą?“. „Tak — odpowiedziała — byłabym go porzuciła. To co innego. Albo — dodała — to właśnie jest miłość.“ Co do mnie, to już dawno przestałam się durzyć w Borucie. Nienawidzę go. W ogóle nie wiem, czy się jeszcze w kim zakocham. Pan się dziwi? Jednak mówię prawdę. Zniechędziłam mężczyzn.

Ilustrował: IBIS-GRATKOWSKI



Dalsze losy bohaterów „Magdałeny“, Magdy i Marioli Czytelnicy będą mogli śledzić od najbliższego numeru w opowieści „Magdalena o rannej godzinie“.

Magda i Mariola opuszczają więzienie. Jakże są ich dalsze losy? Dawniej należały do tej samej grupy przestępczej. Przed rozprawą sądową można było mówić o zwartości tej grupy, jej członkowie gotowi byli nawet do swoistych „poświęceń“

i „solidarności“. Więzy te skruszały przed stołem sędziowskim i w areszcie. Grupa ta już nie istnieje. Nasi bohaterowie zaczynają życie na nowo. Czy jednak można mówić o całkowitym przekształceniu przeszłości? Czy dzień wczorajski można wykreślić z pamięci tak łatwo, jak wyrzucić kartkę z kalendarza? Jakże jeszcze zasadzki czekają na naszych bohaterów? Czy nie ulegną starym pokusom i nie zatrzymają się w połowie drogi? Treścią „Magdałeny o rannej godzinie“ będą przeżycia głównych bohaterów, Magdy i Marioli, związane z ich powrotem do normalnego życia.

Czytajcie od następnego numeru!

„MAGDALENA“ ukaże się jeszcze w bieżącym roku w wydaniu książkowym nakładem Wydawnictwa Łódzkiego. Książka nosić będzie tytuł „MARIA I MAGDALENA W NOCY“ i oprócz opowieści o Magdałenie, którą drukowaliśmy, zawierać będzie opowiadania: „MECE-NAS“, „DZIEWCZYNA I KORZEŃ BZU“, „KRZYWY DIABEL SZUKA DZIEWCZYNY“, „ACH, MARIA“,

PERSPEKTYWA — ale jaka?

Lódzki Ośrodek Telewizyjny jest po Ośrodku Warszawskim, największym i najnowocześniejszym wyposażonym studio w kraju. Taką przynajmniej opinię wyraża osoba kompetentna. I nie byłoby to może momentem aż tak ważnym, gdyby nie pewien ciąg logiczny, który z niego wynika (proszę państwa! nie należy utożsamiać z praktycznym, gdyż logika a praktyka — to antypody!), a mianowicie: możliwości. No tak: bo jeżeli do-robilo się normalnej wielkości studia, posiadającego w dodatku dobrą aparaturę (Łódź ma francuską), więc chyba upada-ja wszelkie czynniki nadrzędne, które dotąd przeszkadzały w stałym udoskonalaniu programu telewizyjnego, podnoszeniu jego poziomu, środków artystycznych, wypracowaniu dla niego nawet drogą eksperymentu (bez którego zresztą trochę trudno wyobrazić sobie znalezienie własnych, „telewizyjnych” metod twórczych?) nowych form wyrazu. Jednym słowem — odpowiednio warunki techniczne: baza techniczna — stanowi warunek konieczny dla zapewnienia właściwej linii rozwoju. A ponieważ Łódź tałami warunkami dysponuje, czyli — posiada równie i możliwości rozwoju.

Tak by logicznie można sobie wydedukować. I nie popędziłoby się zbyt rażąco błąd formalnego, gdyby nie owa dysproporcja pomiędzy logiką a praktyką.

Okazuje się bowiem, że w każdym rozumowaniu konieczne należy uwzględnić siły fatalne, machiavelowską fortunę, która decyduje o wyniku. Siła fatalna sprawiła, że Łódź do tej pory nie ma wozu transmisyjnego. Jeżeli go otrzyma, będzie to wynikiem ofiarności społeczeństwa łódzkiego, gdyż — o tym się mówi — fundusze na zakup wozu ma za-jać się Tow. Przyjaciół Łodzi. Ale fortuna pomimo wszystko jest silniejsza. Centrala telewizyjna przewiduje i już realizuje ograniczenie udziału LOT w programie ogólnopolskim. W niedalekiej przyszłości (uwaga — perspektywa?!), dziewięćdziesiąt procent programu przypadnie na wyłączną własność Warszawy, zaś dziesięć procent, rozłoży się w miarę zasług i uznania pomiędzy ośrodkami regionalnymi.

Centralizacja programu po-ciągnie za sobą stopniowe ograniczenie roli ośrodków regionalnych, a przez to — stopniowe zawężanie perspektyw ich rozwoju. Nie potrzeba przecież bawić się w Kolum-ba, i udawać, jak potężnym bodźcem jest TV dla środowisk twórczych. Skąd się więc bierze ta dynastyczna polityka naczelnych władz telewizyjnych?

Spoglądając w przyszłość — znowu nie tak odległą, aby ją można było bagatelizować: —



oto Warszawa buduje Centrum Telewizyjne. Około 1985 roku zostanie ono uruchomione. Centrum będzie emitować cały polski program telewizyjny, zarówno pierwszy, jak i drugi. W takim razie, co stanie się z TV ośrodkami regionalnymi? Jaka funkcja przypadnie im w udziale? Zapowiadanie programu dnia lub też lokalny koncert? Abstrahując już w ogóle od kwestii niestycha-nia pałacy: szkód, jakie wyrządzą się rozwojowi kultury w miastach regionalnych, ograniczając się tylko do wzglę-dów ekonomicznych: każdy ośrodek telewizyjny kosztowałby grubo miliony, lecz po co? Po co się traciło pieniądze? A przecież w gruncie rzeczy wszystko może być tak pro-ste: dwa programy telewizyjne, jeden z Centrum, drugi — robią wspólnie własne ośrodki regionalne, i szlachetna rywalizacja tworząca zapewniona, i współzawodnictwo artystyczne, a co najważniejsze: sen-sowność istnienia ośrodków regionalnych oraz równorzęd-ne, demokratyczne prawo do rozwoju i perspektywy.

Już w tej chwili monopol Warszawy na wszystko, co naj-lepsze, zaczyna być niebezpieczny. Ilu to na przykład akto-rów, wyławianych w teatrach łódzkich, wychowanych przez Łódź, zagarnięta Warszawą? Jeżeli teraz — podzieli się uczucie te dziesięć łaskawych procent udziału w pro-gramie centralnym pomiędzy sześć ośrodków TV: Łódź, Ka-towice, Poznań, Kraków, Gdańsk, Szczecin — to na każdy przypadnie udział w wysokości jednej całej i paru części dziesiątych. Ta katastroficznie niska liczba przed-stawia sobą właśnie owe praktyczne możliwości rozwoju. W konsekwencji nastąpi dalsza emigracja aktorów, realizatorów, do stolicy, gdyż przy takiej liczbie ich osobiste możliwości spadną również prawie do zera. Ale ktoś po-winien zrozumieć, że i szansa miasta zostanie zepchnięta do roli marginesowej. Perspektywa?

Perspektywa najbliższa — trzymanie się pańskiej klamki.

Ta dalsza? O niej chyba le-piej nie mówić.

KOWALSKI

Radio w TV — TV w radio

Tyle już naczytaliśmy się cierpkich uwag na temat nietelewizyjności niektórych pozycji programowych TV, że któregoś dnia spróbowałem i ja poszukać argumentów wspierających krytyków. Wziąłem pod uwagę dwa programy: jeden radiowy i jeden telewizyjny. I oto, jak-le wnioski wyciągnąłem z takiego jednorazowego prze-glądu:

Audycja radiowa pt. „Po-stęp w gospodarstwie domo-wym” (wszystkie pozycje z dnia 9 maja br.), aż prosi się o utelewizjowanie. No, bo ostatecznie jest to kwe-stia czysto wizualna: zoba-czyć jakiś fragment miesz-kania, urządzonego według nowoczesnych wymogów, z zastosowaniem artykułów produkowanych specjalnie dla ułatwienia życia tzw. „pani domu”. Zupełnie oczy-wiste, że na ekranie wypa-dłaby taka audycja o wiele lepiej niż przy pomocy tek-stu czytanego przed mikro-fonem Polskiego Radia.

Druga audycja z progra-mu radiowego: „Słynni pio-senkarze”. Nikt nie odma-wia naszemu radiu prawa do nadawania muzyki i pio-senek w wykonaniu najlepszych piosenkarzy „świata i oko-lic”, lecz taka próba zesta-wienia najlepszych sił wła-snie na ekranie telewizyj-nym dopiero wypadłaby at-rakcyjnie.

Równie telewizyjną audy-cją okazało się słuchowisko „Na zgłiszczach”. Przy tych samych niemal kosztach, związanych z wystawieniem słuchowiska (aktorzy, reży-seria itp.) efekty byłbyw kil-ka razy bogatsze w telewi-zji niż w radio.

Natomiast, sięgając do pro-gramu telewizyjnego zna-lazłem w nim kilka audycji całkowicie radiowych. Takie na przykład — jak „Sto lat Muzeum Narodowego”, czy „Poradnik turystyczny” — za-dowoliłby się w zupełności zwykłym omówieniem w programie radiowym, nie są bowiem w żadnym stopniu telewizyjne. Jesli by więc kilka pozycji wymienionych wyżej i wyjętych z progra-mu radia przekazać żywcem do wykorzystania w telewi-zji — program tej ostatniej zyskałby na atrakcyjności, stałby się może mniej nud-ny.

F. B.



W końcu 1956 r. nadano w Japonii pierwszy eksperymentalny program tele-wizji kolorowej. W 1960 r. Japonia jako trzecie państwo (po USA i Kubie) roz-po-częła nadawanie regularnych audycji te-lewizji kolorowej z Osaka i Tokio. W pierwszym miesiącu NHK (radiotelewizja japońska) nadawała 6 godz. 20 min. pro-gramu kolorowego tygodniowo. W na-stępnym miesiącu już 8 godzin. Obecnie czas nadawania audycji kolorowych wzrósł do około 13 godz. tygodniowo. Jed-nocześnie wzrasta ilość abonentów telewi-zji kolorowej. Dwa lata temu było ich jeszcze niewiele, a większość odbiorników telewizji kolorowej umieszczano w miejs-cach publicznych jak herbaciarnie, re-stauracje itp.

Drugim państwem, w którym zaczęło nadawać program telewizji kolorowej by-ła Kuba. Już w 1958 r. audycje kolorowe miały swój całodzienny program. Ograni-czał się on tylko do filmów. Pokazywano filmy rozrywkowe i oświatowe, a niektóre powtarzano kilka razy w ciągu tego sa-mego dnia. Większość tych filmów jest produkcji USA, ale coraz częściej poja-wiają się filmy z krajów socjalistycznych. Obecnie oprócz filmów, zaczęło wprowa-dzać do telewizji kolorowej programy rozrywkowe i oświatowe.

W USA telewizja kolorowa już od kilku lat nie jest niczym nowym. Wielkie ame-rykańskie koncerny telewizyjne coraz szybciej przestawiają się na produkcję kolorową. W programach telewizji kolo-rowej występowali znani aktorzy, jak Fred Astaire, Laurence Olivier, który w 1960 r. wystąpił jako księża Myszkin w telewizyjnej adaptacji „Idioty” Dos-tojewskiego i inni. Ostatnio przed kame-rami sieci CBS zaczęła występować z du-żym powodzeniem młodziutka aktorka Juliet Prowse, która debiutowała w gło-snym filmie „Cancan”, obok Franka Sina-try i Shirley Mc Laine. Na zdjęciu: Juliet Prowse.

NASZ WYWIAD

Z HANNA BEDRYŃSKĄ

Hanna Bedryńska, aktorka Teatru Nowego, jedna z tych nielicznych aktorek łódzkich, które dość często mamy przyjemność oglądać w telewizji.

— Czy można zadawać Pa-ni pytania prowokujące? — zwracam się do Hanny Be-dryńskiej.

— To zależy...
— Czy swoje występy w telewizji traktuje Pani jako przyjemność czy raczej jako konieczność?

— Trudno w tym wypadku o odpowiedź jednoznaczna. Sprawy te w jakiś sposób z sobą się wiążą. Jedno jest pewne, żaden z aktorów nie traktuje swych występów w telewizji jedynie pod kątem merkantylnym. Telewizja jest bowiem muza młoda, piękna ale niebogata.

— A więc dla sławy, dla popularności? Czy tak?

— Miesza Pan skutki z przyczynami. Prawdziwy aktor jest przede wszystkim sługą sztuki, która rewan-żuje mu się w pewnej for-mie uznania ze strony pu-bliczności. Popularność jest więc w jakimś sensie uzależ-niona od stopnia tego uzna-nia. Choć zastrzegam się, że nie zawsze. Inaczej można by powiedzieć, że gra akto-ra jest pracą, pracą, której ubocznym skutkiem jest za-interesowanie także człowie-kiem, który tę pracę wyko-nuje.

— To wszystko jest słusz-ne, niemal prawdziwe, ale wobec tego czemu aktorzy teatralni (inni niż w Polsce nie ma) występując w telewizji tak słabo znają teksty swych ról?

— Za innych trudno mi odpowiadać, a ja swoje role zawsze umiem na pamięć.

— Jak Pani to robi?

— Na ulicy, w tramwaju, przez sen...

— To pani nie ma magne-tofonu?

— A Pan posiada maszynę do pisania?

— Niestety.

— A więc jesteście skwi-towani.

— Proszę Pani, o ile się orientuję dyrekcje teatrów:



im. St. Jaracza i Teatru 7.15 bardzo chętnie widzą swych aktorów występujących w szklanym okienku. Dlaczego nie można tego samego po-wiedzieć o kierownictwie Teatru Nowego? Czyżby dla-tego, że dyrektorzy tamtych teatrów również występują w telewizji, a dyrektor Pi-larski przestał to czynić?

— Trudno mi na to py-tanie odpowiedzieć. Występy w telewizji absorbują spo-rą ilość czasu. Możliwe, że dyrektor Pilarski w związku z tym właśnie żywi pew-ne obawy.

— No tak, ale przy tego rodzaju postawie Teatr Po-pularny, który niedawno powstał przy Łódzkim Oś-rodku Telewizyjnym będzie zmuszony korzystać z akto-rów spoza Łodzi?

— Powstanie Teatru Po-pularnego jest niewątpliwą szansą dla łódzkich akto-rów i stawianie im jakich-kolwiek przeszkód w tym względzie byłoby dużą krzy-wdą. Wierzę jednak, że sprą-wa ta znajdzie zrozumienie także i w dyrekcji naszego Teatru.

KAROL BADZIAK

Teatr Popularny

KONGRES we FLORENCJI



Po „Ojcu Goriot” i świet-nych „Ścieżkach chwały” o-trzymaliśmy wreszcie „coś polskiego” — „Kongres we Florencji” (sam tytuł nie wró-zy nie swojskiego) Jarosława Iwaszkiewicza. Opowiadanie pod tym tytułem napisał Iwa-szkiewicz w 1941 r. i wchodzi-ło ono w skład „Nowel włos-kich” wydanych w roku 1947. Autor wraca tu do zagadnie-nia miłości, która komplikuje nierówność klasową. Wyraz zainteresowania tym proble-mem dał już w jednym z pierwszych swoich opowiadań „L'amour cossaque” (1916). U-twór ten traci jednak bardzo dużo w porównaniu z „No-welami włoskimi”, gdzie Iwa-szkiewicz występuje już jako dojrzały artystycznie prozaik. „Kongres we Florencji” to niewątpliwie jedno z bardziej udanych opowiadań tego świetnego pisarza (oczywiście

nie wytrzymuje porównania z „Matką Joanną”). Na tle gro-teskowego kongresu rozgrywa się niezwykle interesujący dra-maś dwójga ludzi. Miłość mło-dego pisarza polskiego do bie-dnej córki właściciela pensjo-natu we Florencji, ukazana jest ze świetną znajomością psychiki ludzkiej, którą Iwa-szkiewicz udowadnia zresztą we wszystkich swych utworach. Autor stawia w tym opowia-daniu z jednej strony bezgra-niczną pustkę wewnętrzną tzw. „wyższych sfer”, z dru-giej ogromną wrażliwość i po-wagę uczucia przebiegłych, szarych ludzi. Artur Sandauer wspominając o „Kongresie” pisze, że „zaszczała Carla, u-stępuje blaskiem, bogactwem i urodą dumnej pani de Sou-dray, posiada jednak to, cze-go brak tamtej: serce”. Roz-grywa się tu tradycyjny trójkąt: ona, on i ta trzecia

nie jest u Iwaszkiewicza czymś szablonowym, a szybki tok akcji wpłynął chyba tak-że na zainteresowanie się tym utworem przez telewizję. Do-dać należy, że „utwory Iwa-szkiewicza nie były nigdy ab-strakcyjnym dowodem, za-wsze mieniły się barwami ży-cia” (Sandauer) co również nie pozostało bez wpływu na wybór tego opowiadania. Adaptacji telewizyjnej dokonał tym razem H. Jakóbczyk (a swoją drogą dziwnie się składa, że adaptatorami Teatru Popularnego byli dotychczas: zastępca dyrektora LOT, dy-rektor, sekretarz, ciekawe kto następny?). Daleko jej było do świetnej adaptacji Orłow-skiego „Ścieżek chwały”, ale można ją zaliczyć do popraw-nych. Reżyser Tadeusz Wo-ronkiewicz pokazał „kawał dobrej roboty”, mimo że nie wysłał się na bardzo wysoki poziom artystyczny. Można go porównać do amerykańskich reżyserów filmowych prezen-tujących doskonale rzemio-łostwo (Wilder, Preminger), ale bez specjalnych ambicji artystycz-nych. Aktorzy tego spektaklu mieli niełatwe zadanie. Tru-dno jest grać bohaterów (zna-nych przez część widzów z o-powiadań), tak by obraz ich odpowiadał w możliwie jak najwierniejszy sposób wy-maganiom postaciom powsta-łym w trakcie lektury. Z za-dania tego aktorzy wywiązali się bardzo dobrze. Niezapom-nianą kreację stworzyła Ja-dwiga Barańska w roli Carli, Walczaka wytracił z transu nieszczyśny stółek na pocza-tku przedstawienia, ale na szczęście szybko doszedł do

siebie dając postać przekony-wającą i żywą. Pozostałe role, nawet te najmniej ważne, były doskonale obsadzone, a akto-ry wywiązali się z nich wzoro-wo. Mogły demerwować tro-chę przydługie eksponowane zdjęcia, ale za podkład mu-zyczny należała się duże bra-wa. W sumie spektakl cieka-wy, dobrze zrobiony, mimo, że już nie tak ambitny jak „Ścieżki chwały”.

Mamy więc za sobą trzecią propozycję Teatru Popular-nego Telewizji. Będzie ich na pewno więcej i wtedy należy się zastanowić nad nie istnie-jącą na razie linią repertua-rowną TPT. Otrzymałymi już trzecią adaptację, a kiedy do-czekamy się dramatu? Adam Ostrowski domagał się „reper-tuaru klasyki światowej, któ-ry wytrzymał wielokrotnie pró-by sceny” („Radio i TV” 15-1962). Na pewno ma trochę racji, sądząc chociażby po do-brym spektaklu „Świętoszka”. Z drugiej strony adaptacji broni Stefania Badkowska („Radio i TV” 20-1962 r.) i nie sposób odmówić jej słusz-ności. Moim zdaniem, po trzech adaptacjach najwyższy czas na dobry dramat (nieko-niecznie klasyczny, a nawet komedję). Co prawda adapta-cje zdają świetnie egzamin, ale nie należy rezygnować z oryginalnej twórczości drama-tycznej. Polemika: adaptacja czy dramat, ożywi się wów-czas ze zdwojoną siłą. Obec-nie dramat zostaj (jeśli to mo-żna tak nazwać) o trzy dłu-gości za adaptacją. Czy to fair?

TADEUSZ WIĄCEK

ODGŁOSY

tygodnia

38 milimetrów contra pół miliona

W roku zeszłym Zakłady Bawelniane w Fastach wpadły na pomysł skrócenia procesu przedzenia. Zapo-

wiadło się, że rocznie można będzie z tego tytułu uzyskać blisko pół miliona złotych oszczędności. Rzecz sama w sobie była całkiem prosta — wymagała tylko zdobycia pewnych detali, po których do zainstalowania na maszynach, tzw. waleczków rowkowanych.

Niestety, nikt w Polsce nie podjął się ich wykonania, mimo że przedstawiciele zakładu jeździli i prosili nieomal od Annasza do Kajfasza. Przemysł ciężki mógł wykonać waleczki, ale nie pasowała mu wielkość rowków — 38 milimetrów...

O tym, że jednak nie jest to takie strasznie skomplikowane i trudne zagadnienie, świadczy najlepiej fakt następujący: zniechęcone zakłady w tym roku wzięły się na własną rękę do produkcji waleczków i najprawdopodobniej uda im się je wykonać. (Tak twierdzi Dział Postępu Technicznego Zjednoczenia Przemysłu Bawelnianego — także indagowany przez zakłady „w sprawie waleczków”).

Tyle, że oszczędności przysięgają dużo później...

Odpowiadają nowożeńcy

Badanie ankietowe przeprowadzone przez lekarzy z Gdańska dr. K. Imielińskiego i L. Pilewicz (Klinika Chorób Psychicznych i Poradnia Nerwów A. M.) dotyczyło wiedzy i przygotowania do życia seksualnego nowożeńców. Ankietę byli bezimienni i wypełniali na zasadzie dobrowolności przez 122 osoby — w tym 83 mężczyźni i 39 kobiet, które zgłosiły się do urzędów stanu cywilnego celem zawarcia małżeństwa.

Wyniki badań wskazują, że kobiety w większym stopniu niż mężczyźni nastawiają się na trwałość małżeństwa — 20 kobiet uważało, że bez względu na okoliczności nie dojdzie do rozbiegów małżeństwa, 19 kobiet, szczególnie w wypadku zdrady dokonanej przez męża, dopuszczało możliwość rozwodu. Jak twierdzą autorzy badań, nastawienie mężczyzn co do trwałości małżeństwa budzi zastrzeżenia. Jedynie 14 mężczyzn uważało, że winno ono być nierozdzielne, reszta wypowiada się za rozwodem w przypadku zdrady małżeńskiej żony. Ciekawe, iż wyniki przemawiają za tym, że nastawienie mężczyzn do wspólnej pracy domowej w małżeństwie jest pozytywne.

Spółród 83 mężczyzn, którzy odpowiedzieli w ankiecie, 59 utrzymywało stosunki płciowe z narzeczoną, a spośród 39 kobiet — 21 zadeklarowało to samo. Zasady współżycia seksualnego znało 41 mężczyzn i 42 nie — w tym kilku nastu nie wiedziało nawet, iż żona też powinna mieć satysfakcję w związku seksualnym. Wszyscy mężczyźni zgodnie uważali, że żona nie powinna mieć stosunków płciowych poza małżeństwem (14 kobiet uważało, że może, 66 mężczyzn uważało, że nie). Wobec tego w stosunku do siebie, 17 kobiet zeznało się na „stosunki pozamałżeńskie męża, pod warunkiem... że one nie o tym wiedzieć nie będą. (Czego obo nie widzi, tego sercu nie żal). Charakterystycznie niskie cy-

fry obrazujące liczbę osób, które osiągały pełną przyjemność seksualną w pożyciu płciowym, świadczy o niskim uświadomieniu seksualnym i kulturze seksualnej. A to, jak stwierdzają lekarze, może stać się przyczyną trudności seksualnych w małżeństwie, podważających jego trwałość. Stąd ostatni wniosek, równie skromny jak wielkość badań, brzmi: należy położyć większy, niż dotąd nacisk na przygotowanie młodzieży męskiej do życia seksualnego i podniesienie jej kultury seksualnej, a także zwrócić uwagę w wychowywaniu młodzieży na wpojenie jej zasady trwałości małżeństwa i wspólnego pokonywania przeszkód małżeńskich. Mimo niewielkiej rozpiętości badań i ich raczej przypadkowego charakteru, który nie upoważnia do wyciągania ogólnych wniosków, wydaje się, że najbardziej godne uznania podjęcie jakiegokolwiek badania na powyższy, „drażliwy” temat.

Pracochłonność potrzebna od zaraz

— Inaczej nie będzie automatyzacji krosien mechanicznych, na którą czekają i liczą zakłady bawelniane w całej Polsce. Zjednoczenie Przemysłu Bawelnianego zleciło opracowanie dokumentacji na automatyzację CeTeBe. Centralne Biuro Techniczne dokumentację wykonało, i owszem, ale i na tym koniec. Wiadomo jednak, że samo istnienie dokumentacji nie jest jeszcze nie zautomatyzowało. Z wyjątkiem może pracowników Biura, którzy na prośbę Zjednoczenia o wykonanie przynajmniej dwu — trzech prototypów przystawek automatycznych zaprojektowanych przez nich właśnie, odpowiedzieli, że nie wykonają... „bo nie ma pracochłonności”. Oznacza to po prostu — tłumacząc na język ludzi, że nie mają czasu.

Specjaliści z CeTeBe, nie tylko z racji swoich umiejętności, ale i dlatego, że wykonali dokumentację, najlepiej i najłatwiej prototyp na niej oparty mogą wykonać. Trudno przecież, aby Zjednoczenie pakowało miliony złotych w wyprodukowanie serii przystawek automatycznych do krosien mechanicznych, bez przebadania ich opłacalności i przydatności na prototypach. Tak jest tryb postępowania w całym przemyśle na całym świecie, że zaczyna się od dokumentacji, poprzez budowę prototypu i dopiero wtedy produkuje serię próbną jakichś urządzeń. Wiedza o tym nadto dobrze właśnie w CeTeBe. Od pracowników Biura wielokrotnie mieliśmy przyjemność słyszeć o znaczeniu badań prototypowych.

Jeżeli CeTeBe „pracochłonności” nie znajdzie, staje pod wielkim znakiem zapytania zaplanowana na pięcioletkę automatyzacja 11 tysięcy krosien w „bawelnie”...

HODUJCIE PIJAWKI

Wbrew powiedzeniu „ty pijawko” jest to stworzenie pożyteczne, cieszące się poważaniem medycyny. Pijawka wysysając krew włącza jednocześnie tzw. hirudinę powodującą, że w składzie krwi zmniejsza się ilość leukocytów, a zwiększa ilość hemoglobiny. Hirudina zapobiega skrzepom, przeciwdziała zwichnięciu się naczyń krwionośnych i łagodnie obniża ciśnienie. W związku z tym przysławianie pijawek stosuje się przede wszystkim przy nadciśnieniu, obrażeniach i wstrząsach mózgu oraz krwotokach mózgowych. Używa się też pijawek w wypadkach, gdy innym sposobem nie da się przeprowadzić upustu krwi na przykład u ludzi otyłych.

Pijawki stosuje się chorym na jaskrę, groźną chorobę grożącą ślepotą. Przykładanie pijawki na skroni chorego obniża ciśnienie śródoczne.

Instytut naukowy w Riazaniu (ZSRR) specjalizuje się w badaniu pijawki lekarskiej, a prowadzona przy Instytucie hodowla dostarcza paręset tysięcy pijawek rocznie.

U nas pijawki lekarskiej nie uświadczy się w aptekach i za chińskiego boga, mimo że figuruje ona w oficjalnym lekopisie. Swego czasu mieliśmy w Łodzi jedyną w kraju hodowlę pijawek. Z chwila, gdy prywatny hodowca „zlikwidował się”, zaczęły się trudności z pijawkami. Rozumiecie, że w tej sytuacji nasze hasło „Hodujcie pijawki” jest nie na żarty i nie bez kozery.

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów”



Fot. A. Kobyliński

KARTKA z CZĘSTOCHOWY

Przy jednej z głównych ulic Częstochowy znajdują się dwa niepozorne sklepiki, zlokalizowane dosłownie naprzeciw siebie, po obu stronach jezdni.

Uwaga przechodniów zwracać szyldy. Na jednym czytamy: „A. Budzik — jubiler”, na drugim „I. Brylant — zegarmistrz”.

Nie nam nie wiadomo czy w przyszłości nastąpi zamiana nazwisk na bardziej profesjonalne.

AUTOR

Znany jest (a raczej był) popularny slogan „nie mara, lecz chęć szczerą robi z ciebie oficera”. Nie wdając się w słuszność tego hasła warto stwierdzić, że zrodziły je specyficzne warunki powojennych lat. Autorzy sloganów i hasel pozostają z reguły nieznanymi. Wyjątek stanowi przedwojenne zawołanie „cukier krzepi” — dzieło Melchiora Wańkowicza.

Tym bardziej możemy się cieszyć ze znajomości autora cytowanego na początku sloganu. Jest nim łódzki dziennikarz, Henryk Sperber. Kto nie wierzy niech zajrzy na stronę 40-50 tomu wspomnień pt. „W stołecznym Lublinie”, wydanego przez Lubelską Spółdzielnię Wydawniczą.

WŁADZA NIZEJ

ustalenie godzin pracy handlu, rozdział lokali handlowych z nowego budownictwa oraz funkcje nadzoru i koordynacji działalności przedsiębiorstw, zakładów i instytucji o zasięgu ogólnolódzkim. I te są również wyłączone z kompetencji

dzielnice. Ale jeżeli powiemy, że dziś dzielnice decydują same w sprawach finansowych, gospodarki komunalnej, mieszkaniowej, w sprawach lokalowych, handlu, przemysłu, skupu i kontraktacji, geodezji (podział nieruchomości), opieki społecznej (przynależność zasilków i pomocy w naturze), nadzoru budowlanego, architektury (z wyjątkiem zatwierdzania projektów architektonicznych - budowlanych obiektów budownictwa powszechnego o kubaturze ponad 10 tys. m sześciu, oraz budownictwa specjalnego), w sprawach urbanistyki (z wy-

jątkiem inwestycji wnoszonych na obszarze dwóch lub więcej dzielnic, inwestycji przemysłowych, związków religijnych i inwestycji specjalnych, nadto w takich sprawach jak rejestracja rowerów i nadawanie nazw ulicom i placom — będziemy mieli jak na dłoni obraz daleko i głęboko w dół przesuniętej władzy. O tym samym świadczy udział dzielnic w funkcjach gospodarczych miasta, np. w zakresie gospodarki komunalnej, gdzie realizują 48,5 proc. zadań, w zakresie gospodarki mieszkaniowej (ochrona substancji mieszkaniowej) — 100 proc., w zakresie oświaty — 52,1 proc.

W najbliższym czasie do kompetencji dzielnic dojdą sprawy średniego szkolnictwa ogólnokształcącego, a także część spraw z zakresu komunikacji (rejestracja pojazdów mechanicznych).

Niestety, schodzeniu władzy w dół nie towarzyszy odpowiedni ruch kadr w górę. Poziom wyszkolenia pracowników prezydium rad dzielnicowych jest za niski i niezadowalający, ale też pensje tu płacone nie przyciągają ludzi wysoko kwalifikowanych.

34

„od” głowy

Tak, „od” głowy, a nie „na” głowę. Wbrew utartej metodzie wypominania tego, co miało dać swemu przeciętnemu statystycznemu obywatelowi pragniemy poinformować co ten, poza produktami pracy, podatkami i opłatami, daje swemu miastu. Otóż wartość tych czynów społecznych w roku ubiegłym obliczono na 23.530 tys. zł (w tym 18 milionów sama robocizna). W przeliczeniu „od” głowy daje to 34 zł. Analogiczny wskaźnik w roku 1958 wynosił 7 zł. Oznacza to — w aspekcie arytmetycznym — pięciokrotny prawie wzrost aktywności społecznej łódzian. Może to nieładnie przeliczać patriotyzm lokalny, konkretną a nieodpłatną pracę na podwórku, ulicy, w dzielnicy — na złotówki, ale skoro zaczynamy coraz bardziej żyć z ołówkiem w ręku i skoro te złotówki tworzą miliony...

CZEKANIE na KRAKSE

W niedzielę, 13 maja szosą do Łowicza zmierzająca zielona „Warszawa” z numerem IA-2222. Musiał być jakiś defekt w samochodzie albo u kierowcy, bo wóz posuwał się zygzakami od jednej krawędzi do drugiej, wyczyniając te harce na szybkości 90-100 km/godz.

Przyśnięty wreszcie na moment upartymi sygnałami do prawej krawędzi szosy, dał się wyprzedzić. Pasażerowie wyprzedzającego wozu popędzili wprost do Komendy Miejskiej MO w Łowiczu, by uprzedzić o zbliżającym się „piracie”. Wiadomość nie wywołała na milicjantach żadnego wrażenia. Nie tylko nie zapisali numeru „Warszawy” ale nawet nie wylegitymowali meldujących, co już stoi w jaskrawej sprzeczności z „metodami” MO.

Widocznie łowiccy milicjanci lubią tylko „grubszą zabawę”. Czekali zapewne aż „Warszawa” spowoduje godną uwagi kraksę.

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa” Łódź * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.-, kwartalnie zł 12.- * Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z oznaczeniem na „Odgłosy” * Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwińki 17 * Zam. 1608 V A 4.